

# NAOKOŁO ŚWIATA

1 9 3 6  
NR. 148



CENA 1 zł





C i e k a w s k i

## Z DZIEDZINY KOSMETYKI

Wiele, pań, bądź to siwiejących, bądź też niezadowolonych ze swego naturalnego koloru włosów, usiłuje go zmienić. Czasami udaje się to nieźle, znacznie częściej jednak rezultat bywa opłakany. Nie mówiąc już o tem, że włosy nie otrzymują koloru, jaki chcemy, lecz inny, często nawet nienaturalny, jak np. czerwony lub zielony, stają się one ponadto łamliwe, kruche i bez połysku. Wina tego leży bądź to w szkodliwości, bądź też w zastosowaniu nieodpowiedniego do tego celu środka. Ponieważ stale wiele pań zwraca się do mnie z pytaniami i żalami w tej sprawie, postanowiłam dać w niniejszym artykule wskazówki, kiedy należy stosować jaki preparat, przyczem, rzecz prosta, wybrałam środki znane mi dobrze z praktyki, jako absolutnie nieszkodliwe i niezbyt kłopotliwe, a prztem, szybkie i pewne w działaniu.

Jeśli idzie o zupełną zmianę koloru, lub też o nadanie naturalnej barwy włosom siwym, wtedy należy użyć farby. Wśród wielu farb wybija się na plan I-szy Eau Vegetale firmy Paul L. Marquis w Paryżu, która ma tę wielką, a niespotykaną u innych farb zaletę, że nigdy nie zmywa się i włosy raz nią ufarbowane zachowują stale nadany im kolor, podczas gdy przy użyciu jakiegokolwiek innej, znanej mi farby, trzeba je ciągle poprawiać. Farba powyższa nadaje włosom piękny, naturalny połysk i nie czyni ich sztywnymi, jak większość farb. Farba Marquis jest pod gwarancją nieszkodliwa i nietylko, że nie niszczy, lecz nawet przeciwnie, wzmacnia włosy, nie wywierając żadnego ujemnego wpływu na skórę. Farba Marquis jest wyraźną w 10-ciu naturalnych kolorach, każdy więc łatwo dobierze sobie żądany odcień.

Natomiast do rozjaśnienia włosów nie powinno się nigdy używać farby, ani tembardziej wody utlenionej, gdyż nieda to nigdy spodziewanego efektu, a ponadto ta ostatnia h. niszczy włosy, które stają się kruche, łamią się, a przy używaniu wody utlenionej przez czas dłuższy marnieją i wypadają. Do rozjaśnienia więc włosów należy używać wyłącznie środków roślinnych, gdyż są one zupełnie nieszkodliwe dla włosów. Wśród środków tych króluje słoneczny płyn *Hella* — *Perfection*, sporządzony na ekstrakcie rumiankowym. Płyn ten rozjaśnia włosy o jeden ton po każdorazowym użyciu, dzięki czemu włosy doprowadzamy stopniowo do pożądanego odcienia i tem samem unikamy, co się często zdarza, nadmiernego rozjaśnienia. Prócz tego płyn *Hella* — *Perfection* rozjaśnia włosy, nadając im prześliczny, naturalny, złoty odcień, podczas, gdy środki sporządzone na wodzie utlenionej dają zwykle maślano-żółty kolor. Płyn *Hella* nadaje się również doskonale do rozjaśnienia włosów przed ich ufarbowaniem, co jest nieodzowne wtedy, gdy farbujemy włosy na kolor jaśniejszy niż mamy.

Do skutecznego uzupełnienia płynu *Hella* jest specjalnie, również na rumianku sporządzony szampon *Rumiankowy Perfection*, który używany do mycia włosów nie pozwala na ich pociemnienie.

M-me Ercèdes





Efektowne ćwiczenia angielskie

# NAOKOŁO ŚWIATA

Nr. 148

ROK 1936



Katarzyna Hepburn w filmie R.K.O. Maria Stuart

# TREŚĆ NUMERU

WANDA KIESZKOWSKA, Cień . . . . .	Str. 5
T. ILF i E. PIETROW. Nie auto, lecz djabeł . . . . .	„ 11
G. W. BARODU, Kier as . . . . .	„ 16
BORYS LEWIN, List w niebieskiej kopercie . . . . .	„ 21
STEFF. Listy sprzed 2000 lat . . . . .	„ 26
RAOUL COLLARD. Konkurenci . . . . .	„ 29
H. W. WALBROOK, Okropności South-Lambeth . . . . .	„ 32
Ilustracje . . . . .	„ 37 - 44
HOLGER DRACHMANN, Naokoło przyładka Horn . . . . .	„ 45
MAC BUTLEY, Zimna krew . . . . .	„ 50
SHERWOOD ANDERSON, Zgubiona powieść . . . . .	„ 54
Anegdoty . . . . .	„ 58
Ilustracje . . . . .	„ 61 - 64
H. LUDWIG, Zakochany bokser . . . . .	„ 65
CARLO VALETTI, Salto mortale . . . . .	„ 67
JAR. HASZEK, W stronach rodzinnych . . . . .	„ 71
A. P. OFER, Dowidzenia . . . . .	„ 75
Y. HELTAI. Ostateczne życzenia . . . . .	„ 79

Na okładce: Jeanette Mac Donald, fot. Metro-Goldwyn Meyer

Rysunki E. Kanarka, E. Lipińskiego,  
E. Rotmanówny i H. Tomaszewskiego

---

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Zgoda 12, tel. 522-14

Administracja czynna codziennie od godz. 13 do 15

Redakcja we wtorki i czwartki od godz. 12 do 14

Prenumerata kwartalna w kraju, wraz z przesyłką,

zł. 3.— zagranicą zł. 5.—

Zeszyt pojedynczy 1 zł.

*Rękopisów i fotografii niezamówionych, przysłanych pocztą bądź też skła-  
danych osobiście, redakcja nie przechowuje i bezwzględnie nie zwraca*



# CIEŃ

Pierwszem uczuciem, jakiego doznał inżynier Małecki, patrząc w twarz swej żony, powlekającą się zwolna cieniem śmierci, było bezgraniczne zdziwienie i oszołomienie.

Tak dziwną, tak niepodobną do wiary wydawało się rzeczą, żeby mogła umrzeć. Tyle kobiet przechodziło przez to samo, a ona była młoda i zdrowa, młodsza i zdrowsza od wielu innych.

Żal i ból przyszedł dopiero później... kiedy zniknął z domu tłum obcych ludzi, którzy wtargnęli do mieszkania na pierwszą wiadomość o śmierci, mącąc jego ciszę i spokój, i kiedy wreszcie zamknęła się ziemia nad trumną...

Przez szereg tygodni, przez długie miesiące przeżywał inżynier Małecki rozpacz bezradnego buntu i tęsknoty, poznając do dna niezastąpioną pustkę, jaką może spowodować w świecie utrata jednej, kochanej istoty.

Dziecko... Małecki nie mógł myśleć o niem bez głuchej niechęci i przymusu. W najtajniejszej głębi swego serca nienawidził je. Wiedział dobrze, że nieśłusznie. Wstydził się tych uczuć i nie przyznawał do nich nawet przed sobą, ale czuł zarazem, że nie ich przełamać nie zdoła. Napróżno powtarzał sobie, że dziecko nie było winne śmierci matki, że ono samo najmocniej odczuje kiedyś brak serca i opieki matczynej, nie mógł się zdobyć nigdy na żaden odruch uczucia w stosunku do niego, ani wykrzesać najmniejszej iskiereki wzruszenia ze ściętego bólem i zawziętością serca, kiedy patrzył na małą istotę, krzywiącą się i kręcącą nieporadnie w białych powijkach.

Cokolwiek mówił rozum, jeden fakt pozostawał niezbity: że gdyby nie dziec-

ko, Hanka żyłaby przy jego boku spokojna, zdrowa, wesółą...

Byli ze sobą szczęśliwi, i dobrze im było we dwoje i nie marzyli wcale o dziecku. Pierwsze oznaki swego stanu przyjęła Hanka z obawą i niepokojem. Dziecko wniosłoby tak dużą zmianę w ich dotychczasowym życiu. Mówiła mu o tem ze zmieszaniem, lękiem, ale i odrobiną kobiecej dumy. Powoli jednak, nieznacznie, lęk i niepokój jej przeradzał się w czułość i pełne wzruszenia oczekiwanie. W tym ostatnim okresie ich wspólnego życia, kiedy Małecki powracał z pracy do domu, witała go żona zawsze z rozjaśnioną twarzą, opowiadając już w progu wszystkie nowiny o „maleństwie“, o tem, że się rusza, że było niespokojne, że obudziło ją w nocy i zrana... Doszło wreszcie do tego, że już o niczem innem nie chciała mówić ani słuchać, tylko wciąż o niem i o niem. Już wtedy zaczynał Małecki odczuwać głuchą irytację na tego małego intruza, który tak niespodzianie wypychał go z serca żony, wciskając się niepodzielnie na jego miejsce. Pocieszał się tylko myślą, że stan taki nie będzie przecie trwał wiecznie, że potem będzie inaczej...

I stało się zupełnie inaczej...

„Nie wiedziała, że będzie ją kosztowało życie to „maleństwo“, które tak bardzo kochała, a którego nigdy nie miała oglądać“, rozmyślał z rozpaczą, ściskając głowę rękami i tłukąc się po pokoju szybkim, nierównym krokiem.

W takich chwilach zdawało mu się, że dłużej tego stanu nie zniesie, że cierpienie jego przechodzi miarę ludz-

kiej wytrzymałości, że wkońcu albo tłumiona rozpacz wybuchnie nazewnątr, albo też w tej ustawicznej walce starga się i zerwie jego zmęczone serce.

W każdym cierpieniu ludzkim przechodzi jednak kiedyś przełomowa chwila, gdy ból, osiągnąwszy najwyższy stopień napięcia, zaczyna się zwolna ściszać i uspokajać. Niema prawie rany, którejby czas nie zabił, ani wspomnienia, któreby z odległości nie zbladło. I inżynier Małecki doznał na sobie wreszcie dobroczynnego działania czasu, a czego sam czas nie zdołał dokonać, w tem dopomogła mu praca. Małecki nie zapominał wprawdzie o żonie, ale pamięć o niej stała się mniej paląca; pustka i samotność, sunące za każdym krokiem jego życia, jak nieodłączny cień, były mniej przykre i trudne do zniesienia. Z kątów zimnego, pustego domu nie wyzierały już zdradziecko wspomnienia, rodzące bunt i tęsknotę. Nie wiele zresztą czasu przebywał w domu. Przez czas choroby żony i pierwszy okres żałoby zaniedbał nieco swą pracę zawodową. Teraz powrócił do niej... rzucił się na nią z pasją, prawie rozpaczliwą energją i utonął cały w swych projektach, wynalazkach i udoskonaleniach technicznych.

Inżynier Małecki stwardniał, zamknął się w sobie, ale pogodził się z życiem.

Z jednym tylko nie mógł się pogodzić — ze swoim dzieckiem. Mała Rena, biedna, mała Rena... Sam jej widok wystarczał, żeby wzburzyć na nowo w sercu cały uspiiony ból i gorycz. Każde jej słowo było raniącym przypomnieniem, każdy ruch drażniącym wyrzutem. Mimo to starał się inżynier Małecki być dobrym ojcem dla dziecka, dbał o to, by miało wszystko co mu było potrzebne, dobierał najlepsze pielęgniarki, opiekunki i bony. Nie działa mu się żadna krzywda. Miało najtroskliwszą opiekę, najzdrowsze warunki rozwoju i najładniejsze zabawki. Najsurowszy sędzia nie mógłby postępowaniu jego nie zarzucić. A jednak inżynier Małecki wiedział sam, co o tem sądzić. Nie miał nigdy dla swego dziec-

ka, dla małej Reny, przyglądającej mu się zawsze z taką uwagą swemi wielkimi, dziwnie mądrymi oczami, ani jednej nieprzymuszonej pieszczoty, ani jednego dobrego, serdecznego słowa. Z ledwo ukrywaną niechęcią i zniecierpliwieniem słuchał codziennych raportów, składanych mu przez pielęgniarkę o pierwszym ząbku, o tem, że Renusia zaczyna już mówić, że stawia pierwsze kroki, i jeśli schylał się czasem, by ją pogłodzić niedbale po potarganej głowinie, lub musnąć końcem warg delikatnego, pachnącego mlekiem policzka, czynił to zawsze jakgdyby wbrew woli i przeciw sercu. Coś odpychało go z nieodpartą siłą od tego dziecka. I nie uświadamiając sobie tego wyraźnie, miał przecie niejasne poczucie, że mała odczuwa doskonale i podziela jego niechęć.

Kiedy między jednym a drugim posiedzeniem, przed odczytem, czy zebraniem, wpadał czasem na chwilę do dziecięcego pokoju, witały go już od progu chmurne, odpychające oczy dziecka. Rena nie okazywała nigdy wdzięczności za zabawki, któremi ją zasypywał, ani radości spowodu jego przyjścia. Nigdy nie wybiegała na jego spotkanie, kiedy powracał zmęczony do domu, ani nie zarzucała mu sama rąk na szyję. Ale też nie prosiła go nigdy o nic, nie zadawała żadnych pytań i kiedy mogła usuwała mu się z drogi cicha, spokojna, uważna.

Niezwykłym naprawdę była Rena dzieckiem, do innych dzieci wcale niepodobnem. Bony i opiekunki miały dla niej same pochwały. Była grzeczna i posłuszna, tylko jakby trochę zgaszona, pozbawiona dziecięcej beztroski i radości życia. Miała wszystko, czego tylko mogła zapragnąć, prócz miłości i serca, więc nie cieszyło ją nic. W przeciwieństwie do innych dzieci, nie naprzykrzała się nigdy o nie i nie lubiła, żeby się nią zbytnią zajmowano. Umiała zato siedzieć godzinami bez ruchu, zapatrzona gdzieś przed siebie, cicha i zamyślona. Czasem przechylała lekko główkę, jakgdyby słuchała czegoś z głęboką uwagą, czasem poruszała niewi-



docznie wargami, niby w odpowiedzi na czyjeś słowa. Ale zapytywana żartobliwie przez bonę, z kim to takie tajemnicze rozmowy prowadzi, uśmiechała się tylko zakłopotana, potrząsając przecząco główką.

Najbardziej lubiła, kiedy ojca nie było w domu, wyruszyć w samotną wędrówkę po całym domu. Pokoje ojca omijała stale, nie zaglądając do nich nigdy. Najchętniej zato wślizgiwała się do pokoju matki, w którym wszystko pozostało nieruszone od dnia jej śmierci. Przystawała w zamyśleniu przed toaletą, podchodziła do okna, dotykała małemi, zwinnemi paluszkami przyborów do pisania. Otwierała też czasem szafę i przesuwała dłonią po szeleszczącym jedwabiu i szorstkiej wełnie sukien matczynych, wchłaniając w siebie ich słaby, prawie nieuchwytny zapach. Ale gdy tylko usłyszała na schodach dalekie jeszcze echo kroków ojca, biegła czemprowadz do swego pokoju, chroniąc się pod skrzydła opiekunki, od której nie chciała już odejść.

Stara gospodyni i bona, podpatrzwszy cel jej samotnych wycieczek, dziwiły się niezwykleму usposobieniu dziewczynki, trzęsąc nad nią z litością głowami. Wkońcu jednak przyzwyczyły się do tego i przestały zwracać uwagę. Usposobienie takie było zresztą nieszkodliwe, a naogół biorąc wygodniejsze od innego. Nie sprawiało kłopotu i nie zabierało czasu.

Z całego domu jeden Małecki tylko nie domyślał się i nie wiedział nic o dziwnych zwyczajach córki. Widywał ją tam mało. Między nim a Reną nie padło nigdy słowo „matka“. Zdziwił się więc i rozgniewał, kiedy przyszedłszy kiedyś niespodziewanie do domu, zastał drzwi do pokoju swej żony otwarte. Do licha, cóż to mogło znaczyć! Wiedzieli przecież wszyscy dobrze, że nie wolno tam było wchodzić nikomu, poza godzinami sprzątania. Zdziwienie jego zmieniło się w osłupienie, kiedy zbliżywszy się do drzwi, by je zatrzasnąć z hałasem, ujrzał małą Renę, stojącą przed portretem matki i wpatrzoną bez tchu w barwną plamę obrazu.

Pierwszym odruchem chciał Małecki wpaść do środka, porwać dziecko na ręce i wynieść je daleko od tego pokoju, od tych sprzętów i tego obrazu — tak trudną do zniesienia, tak nie do pojęcia straszliwie męczącą wydawała mu się jej obecność w tym pokoju, gdzie niegdyś, przed sześciu laty zaczęło się jej życie, a skończyło życie matki. Ale we wzroku zapatrzonego dziecka było coś takiego, co przykuło go od razu do miejsca, odbierając wszelką możliwość działania. Smutna, biała zazwyczaj twarzyczka dziewczynki promieniała, z czarnych oczu bił zachwyt i gorąca, nabożna miłość. W pewnej chwili Rena poruszyła się niespokojnie raz i drugi, jakgdyby czując na sobie czyjś wzrok, i Małecki cofnął się odruchowo w cień, bo serce zamarło w nim na myśl o tem, że mogłaby go dojrzeć. Wolno, jak we śnie, w bezgranicznym zachwycie poruszyła się Rena z miejsca i zaczęła iść przed siebie prosto do obrazu. Stanąwszy pod ścianą, wyciągnęła z tęsknotą ręce ku górze. Ale obraz wisiał wysoko i nawet końcami palców nie mogła dosięgnąć ramy. Bezradnie, z rozpaczliwym smutkiem rozejrzała się wkoło. W kącie pokoju stał mały stolik, służący niegdyś do robót. Przyciągnęła go pod obraz. Z trudem dźwignęła się na krzesło, potem na stół. Ciemna jej główka znajdowała się teraz na wysokości ciężkich ram portretowych. Palce jej przesunęły się parę razy z najczulszą, serdeczną pieśczołą po chropowatym płótnie obrazu, niby wyczuwając kształty ukochanej postaci; głowa opadła na pierś, opierając się z cichym westchnieniem o twarde obramienie, wokół którego zacisnęły się jej ręce. Z przymkniętych boleśnie oczu płynęły obfite, sieroce łzy.

Małecki uczył tępe uderzenie w sercu i ból, jakiego nie doznawał nigdy, nawet przy łożu śmierci swej żony. Nie mógł oderwać oczu od drobnej postaci dziecka, tulącego się całym ciałem do obrazu w bezbrzeżnej, bezradnej tęsknocie, a zarazem czuł, że nie zdoła dłużej znieść tego widoku. Dławiły go gorzkie, niewypłakane łzy, kiedy chył-

kiem przemyskał się niewidziany do siebie.

Ale ani noc, spędzona bezsennie, ani zmęczenie następnych pracowitych dni nie zdołały już zatrzeć wspomnienia dojrzanego niespodzianie obrazu. Wszędzie, spoza papierów biurowych, spoza rysunków technicznych i długich kolumn cyfr wychylała się ku niemu twarz dziecka, przytulona w milczącej pieśczości do zimnych ram portretu. Coś ciągnęło go nieprzeparcie do domu. Miał uczucie ślepeca, kroczącego lata całe w ciemności i cieniu, który zбочczywszy nieświadomie z wytkniętej przez siebie drogi, stanął nagle twarzą w pełnem słońcu.

I skądże się to mogła wziąć taka miłość ku nieznanej matce w sercu małego dziecka? Kto mówił mu o zmarłej matce, kto rozdmuchał taką tęsknotę uczucia?

Im dłużej nad tem rozmyślał, tem mniej rozumiał, tem trudniej mu było odpowiedzieć na mnożące się zewszestrón pytania.

Żył przecie w zamknięciu, nie utrzymując prawie stosunków z ludźmi; nie widywał nikogo z rodziny; zmienił całą służbę po śmierci swej żony, by ustrzec się próżnych utyskiwań i żalów, do wysłuchiwania których nie znajdował w sobie sił. Sam nie mówił dziecku nigdy o matce i nie znosił żadnego wspomnienia o niej w swej obecności. Jak chory lękał się trwożliwie każdego niebacznego dotknięcia, które mogłoby go urazić. I zdawało mu się, że zabezpieczył się tak dobrze przeciwko wszelkim niespodziankom!

Żałował teraz mocno dawnych chwil, kiedy to jednym szorstkiem słowem urywał w pół drobiazgowo relacje bon i pielęgniarek. Uważał, że nudzą go i rozdrażniają tylko niepotrzebnie. A tyle rzeczy mógł się od nich dowiedzieć, poznać drobne przeżycia, cały charakter i usposobienie Reny. Wtedy nie chciał nic o tem wiedzieć i słyszeć, a teraz, kiedy dałby tak wiele, żeby móc choć na chwilę zajrzeć do zamkniętej przed nim duszy dziecka, wstyd i lęk zamykał mu usta. Żyli obok sie-

bie, nie widując się prawie wcale i nie o sobie nawzajem nie wiedząc. I teraz jeszcze, myśląc o tem wszystkim, nie wiedział Małecki sam, czy kocha to swoje dziecko, czy je wciąż nienawidzi. Jedno tylko czuł ponad wszelką wątpliwość: że jest ono jedyną więzią trzymającą go przy życiu.

Mała Rena nie okazała wcale zdziwienia, kiedy siadając pewnego dnia z boną do stołu, ujrzała ojca zabierającego miejsce przy niej. Siedząc na swem wysokiem krzeselku, wysłanem poduszkami, zjadała z apetytem, zachowując przytem spokój i równowagę małej kobietki. Zachowywała się z pozorów jak każde mniej więcej zdrowe, normalne dziecko, z większą może powagą i skupieniem. Ale obserwując ją nieznacznie spod oka, dojrzał Małecki ze zdziwieniem, że siedząc tak przy nim grzecznie i odpowiadając spokojnie na zadawane sobie pytania, zwracała wciąż uparcie zamyślony wzrok przed siebie na pusty fotel, stojący nawprost jej dziecięcego krzeselka, na miejsce, przy którym przed laty siadywała niegdyś jej matka.

Od tego dnia wspólne posiłki weszły w zwyczaj, ale Małecki nie posunął się ani na krok w swych badaniach. Mała Rena pozostała dla ojca białą, tajemniczą kartą, której odczytać nie mógł. A choć wpadał do domu często o najmniej spodziewanych godzinach, nie udało mu się nigdy więcej zastać jej w pokoju matki.

Był jasny, słoneczny dzień i pokój cały tonął w jaskrawych potokach słońca, kiedy Małecki, spojrzawszy na Renę, siedzącą na swem wysokiem krzeselku i oczekującą grzecznie i cierpliwie na podanie obiadu, powziął nagle myśl sfotografowania jej. Dziwne i przykre to było, że nie miał dotąd żadnego zdjęcia swego dziecka. Siedziała ciszona i zamyślona, nie zwracając wcale uwagi na ojca. Główkę wsparła na rękę i zapatrzyła się swoim zwyczajem przed siebie. I patrząc na nią, zrozumiał Małecki, jak wiele dałby za to, żeby móc poznać jej wrażenia, wiedzieć o czem tak myślała, błędząc oczami w prze-



strzeni... bo przed nią stał pusty fotel, nieodsuwany od sześciu lat, na którym teraz nikt nie siadywał...

Inżynier Małecki był doskonałym i zamiłowanym amatorem fotografem. Z całym zapalem i dawno nieprzeżywaną niecierpliwością zabrał się własnoręcznie do wywoływania klisz. Wiedział nieomylnym wyczuciem fachowca, że zdjęcia muszą być niezwykle udane. Wszystkie warunki były przecież tak świetnie dobrane. Miejsce dobre, poza doskonałą i dzień jakby wymarzony. Toteż nie mógł opanować odruchu zdziwienia i niezadowolenia, kiedy podniósłszy kliszę do światła, dojrzał na niej jakąś dziwną plamę, której pochodzenia nie mógł odgadnąć. Zniechęcony i zły wziął do ręki drugą i trzecią kliszę i przykładał je kolejno do oka i na każdej z nich dostrzegał tajemniczą, jasną plamę. Nagle wrażenie zatrzęsło nim od stóp do głów, oblewając ukropem wzburzonej krwi... Plama występowała zawsze w jednym i tem samym miejscu, w miejscu, gdzie stał fotel jego żony, fotel, w który z taką uporczywością wpatrywała się Rena. I plama, kiedy się jej było przyjrzeć uważnie, przypominała lekkie zarysy kobiecego ciała. Przez chwilę myślał Małecki, że ulega halucynacji lub jest bliski obłędu. Ale plama nie znikwała. Przeciwnie nawet. Im dłużej się jej przyglądał, tem wyraźniej odkrywał w mglistych, niewyraźnych zarysach drogą ponad wszystko postać, znajomy ruch, pochylenie głowy...

Inżynier Małecki nie był nowicjuszem w swoim zawodzie. Miał już za sobą lata wytężonej pracy naukowej, udział w licznych wynalazkach i udoskonoleniach. Ale nigdy, przy najbardziej ważnych, odpowiedzialnych pracach, od powodzenia których zależała nieraz cała jego przyszłość, nie czuł w sobie takiej drżącej gorączkowej niecierpliwości, jak w tym dniu, kiedy z biciem serca oczekiwał na odbitki.

Długo stał w pracowni, trzymając fotografie w ręku. Żadna omyłka nie była możliwa. Nawprost Reny, zapatrzonej w zachwycie przed siebie, wid-

niała w fotelu zwiewna postać kobieca, pochylona w stronę dziewczynki ruchem pełnym macierzyńskiej troski i opiekuńczej miłości. Twarzy jej nie było widać, gdyż trzymała ją zwróconą do dziecka. Ale zza ciężkich ram fotela wysuwały się wyraźnie lekkie kontury spadzistych ramion i szyi, ponad którą wznosiła się mała główka, otoczona koroną falistych włosów. Nie była to fotografia, a tem mniej fotografia osoby żyjącej. Ale była to uduchowiona wizja jego żony, takiej, jaką ją znał i kochał przed laty.

Teraz wszystko stawało się nagle przeraźliwie jasne. Ten jeden, mały obraz tłumaczył wszystko: niezwykle zachowanie dziewczynki, jej odosobnienie, zamknięte w sobie usposobienie i to ciągle zapatrzenie zadumanych oczu. Ją to przecie, jego żonę, a swoją matkę, musiała widzieć wciąż przy sobie mała Rena, jej słów słuchała zapewne w skupieniu, kiedy cicha i spokojna siadywała w kącie pokoju i na nią to zapewne patrzała, utkwivszy wzrok przed siebie w przestrzeń, gdzie on widział tylko pusty fotel. „Ona“, matka dawała dziecku przez długie lata opiekę i miłość, której jej ojciec odmawiał.

„Jakże silny jest węzeł, łączący matkę z dzieckiem i jak wielka jest potęga macierzyńskiego serca, które nawet samą śmierć umie przezwyciężyć“, rozmyślał z pełnem nabożnego lęku wzruszeniem, pod którem tajała twarda skrupa, pokrywająca mu serce.

Wrażenie było tak silne i nieoczekiwane, że zatrzęsło nim do głębi. Nie wiedział sam, co ma ze sobą począć. Nie mógł się zabrać do żadnej pracy, a nie chciał wrócić do domu. Ponad wszystkimi uczuciami i wrażeniami górowała w nim obawa przed jasnem, poważnem spojrzeniem swego dziecka, które tak długo krzywdził i zaniedbywał.

Było już dawno po północy, kiedy głodny i znużony przywlokł się z trudem ku domowi, pragnąc przemknąć się niepostrzeżenie do siebie. Ale nie uczynił tego. Ledwo przestąpił próg



domu, odrazu całym sercem był przy dziecku. Czuł, że musi je zobaczyć, w tej chwili, nie zwlekając. Ostrożnie otwierając drzwi, wślizgnął się na palcach do pokoju... ukląkł przy białym łóżeczku. I wtedy przy bladym świetle latarni, padającym z ulicy, spostrzegł z przerażeniem, że Rena nie śpi. Jej szeroko rozwarłe oczy zwrócone były prosto na niego.

— Dlaczego nie śpisz? — zapytał zdławionym szeptem, wyciągając przed siebie ręce.

— Musiałam czekać na ciebie...

— Renuś!

— Tatusiu!

Dwa okrzyki padły jednocześnie ze zdyszanych wzruszeniem piersi i zmieszwały się ze sobą w jeden. Małecki sam nie wiedział, jak się to stało, że drobna postać córki znalazła się nagle na jego kolanach, że jej chude ramionka objęły go za szyję, a droga, ciemna główka

znalazła się tuż przy jego ustach. Pierwszy raz czuł na swych policzkach, na ustach i oczach świeże, wilgotne pocałunki i pierwszy to raz biło serce jego dziecka tuż przy jego sercu. Pocichu, jakgdyby bojąc się spłoszyć zbyt głośnymi słowami swe świeżo narodzone szczęście, zapytał Małecki, obejmując dłońmi jasne czoło dziecka:

— I skądże ci to przyszło na myśl czekać na mnie? Skądże mogłaś wiedzieć, że przyjdę dziś do ciebie?

Rena oderwała na krótką chwilę głowę od piersi ojca, gdzie czuła się tak bezpiecznie i dobrze. Z oczami w jego oczach odpowiedziała mu poprostu z promiennym uśmiechem, jakiego u niej nigdy dotąd nie widział:

— Mamusia mi to powiedziała... Kazała czekać na ciebie i przypomnieć, że od dziś musisz zastąpić ją przy mnie na zawsze.

WANDA KIESZKOWSKA



**KREM • PUDER**

Te dwa  
bliźniacze  
środki, sporządzone z cząstek cebulki lilii białej, są podstawowymi i nieodzownymi artykułami toalety Pani. Krem odżywia skórę, czyni ją elastyczną i jedwabistą, usuwa zmarszczki, zapobiega tworzeniu się nowych. Puder delikatny, ale dobrze przylegająca warstewka, subtelnie tonuje pożądaną karnację, darzy świeżością i nieodpartym powabem młodości.

Ale musi to być  
krem i puder.  
Abarid

**ABARID**

# Nie auto, lecz djabeł

Ostatnio powrócił do naszego miasta dr. Grom, który załatwiał w Moskwie różne sprawy handlowe. Doktor kulał i wbrew przyzwyczajeniu wziął z dworca dorożkę. Wbrew przyzwyczajeniu — bo zazwyczaj dr. Grom przybywał ze stacji do domu piechotą.

Obywatelka żona bardzo się temu zdziwiła. Z chwilą jednak, gdy na lewym półbuciku męża zauważyła świeży ślad od automobilowego koła, zdziwienie jej nie miało granic.

— Wpadłem pod auto — zawołał z radością dr. Grom — potem podałem do sądu o odszkodowanie.

I tu przybysz, obficie przeplatając swoją mowę najróżniejszymi szczegółami i dygresjami, opowiedział historję szczęścia, jakie go w Moskwie spotkało.

Otóż w Moskwie na jakiejś ulicy, zgrzytając automobilowemi kołami, fortuna obróciła się do dr. Groma twarzą. Biła zaś od niej taka oślepiająca aure-

ola, że trafił pod auto. To go uspokoiło. Podniósł się, otrząpał powalane kurzem spodnie i krzyknął:

— Zamordowali!

Auto natychmiast stanęło, wyskoczył jakiś mężczyzna w schludnym meloniku i szofer z rudemi wąsami.

— A ja go znam — odezwał się jakiś głos — to poseł. A samochód z poselstwa — tu wymieniono nazwę sąsiedniego państwa, Klatwija.

Nazajutrz odbył się sąd. Na mocy wyroku poselstwo Klatwiji zobowiązało się wypłacać ofierze samochodowego wypadku po 120 rubli miesięcznie tytułem odszkodowania za uszkodzenie ciała.

Z tego powodu dr. Grom urządził wstawę; całe nasze miasteczko bawiło się trzy dni i trzy noce. Tylko pod koniec uczty zauważono, że znikł bezrobotny Aleksy Jelisiejewicz.

Nie uciekły jeszcze zachwyty z po-



wodu nadzwyczajnego szczęścia dr. Groma, gdy nowa sensacja obiegła miasteczko.

Wrócił Aleksy Jelisiejewicz. Okazało się, że bawił w Moskwie. Tu przypadkowo wpadł pod samochód posła z Klatwiji i zaskarżył poselstwo do sądu o odszkodowanie. Tym razem Klatwija musiała wypłacać poszkodowanej ofierze po 170 rubli miesięcznie, jako że Aleksy Jelisiejewicz obarczony był liczną rodziną.

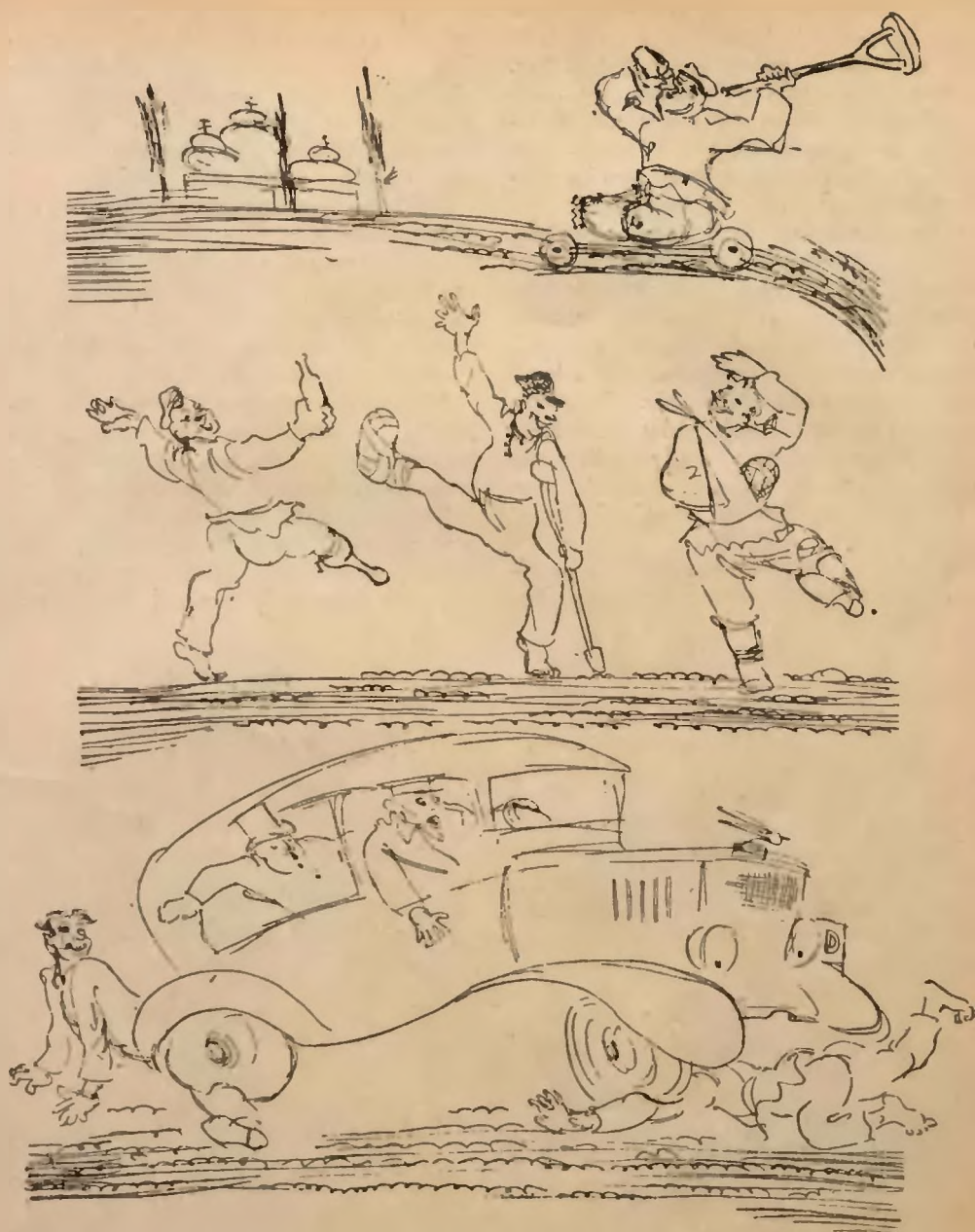
Z wielkiej radości nowy bohater zafundował przyjaciółom i znajomym ca-

łą beczkę piwa. Pito co niemiara i chwalono ofiarę ulicznego ruchu w Moskwie.

Trzeci wypadek samochodowy zaszedł po upływie tygodnia. Tym razem ofiarą padł prezes kółka scenicznego i dyrygent chóru, Sindik-Bugajewski. Ten działał prostolinijnie, zgodnie z właściwościami swego charakteru. Przyjechawszy do Moskwy, Bugajewski udał się pod bramę klatwijskiego poselstwa i tu oczekiwał wyjazdu auta. Jak tylko auto wytoczyło się na ulicę, Bugajewski postawił pod koło nogę,







poniósł dość duże uszkodzenie fizyczne i otrzymał storubłą pensję miesięczną aż do grobowej deski.

Wtedy już całe miasteczko zrozumiało, że poprostu nadeszła nowa era. Wszyscy zaczęli eksploatować odnalezioną przypadkowo przez dr. Gromą złotą żyłę. Do Moskwy ciągnęły całe

gromady — doświadczeni starcy, młodzi robotnicy i nawet komsomołcy. Szczególnie dorożkarze ze specjalnem zamiłowaniem uprawiali wspomniany fach. Były dnie, gdy w naszym miasteczku nie widziało się ani jednego dorożkarza. Wszyscy wyjeżdżali do Moskwy. Tu pracowano. Ten i ów trafiał

pod samochód klatwijskiego poselstwa, wyleżał się w szpitalu, a potem już brał na dożywocie specjalną pensję. Zarobek szedł nieźle. Auto nie mogło nadążyć z najeżdżaniem. Nie auto, lecz djabeł — mówiono w Moskwie na wiadomość o ciągłych wypadkach.

Tymczasem w ościennem państwie, Klatwija, nastąpił niesłychany finansowy kryzys. Utrzymanie poselstwa w Moskwie stało się tak kosztowne, że trzeba było zredukować pensje urzędnikom i zmniejszyć liczbę wojska z trzystu żołnierzy na piętnaście. Opozycja chrześcijańskich socjalistów podniosła łeb. Przewodniczący rady ministrów stał się przedmiotem zażartych ataków ze strony lidera wzmiankowanej partji.

Gdy wreszcie pod samochód poselstwa w Moskwie trafił trzydziesty sko-

lei obywatel naszego miasteczka i celem wypłaty zasądzonego odszkodowania trzeba było zamknąć państwową operę, — niezadowolenie w Klatwiji sięgnęło szczytu. Spodziewano się puczu ze strony klikki wojskowych.

Na posiedzeniu sejmu zapytano wręcz przewodniczącego:

— Czy wiadomem jest panu przewodniczącemu, że kraj nasz znajduje się w przededniu bankructwa?

Na to odpowiedział przewodniczący:

— Nie, niewiadomo.

Ale mimo tej uspakajającej odpowiedzi państwo musiało ogłosić wewnętrzną pożyczkę. Ale i te pieniądze pożarło niebawem nasze miasteczko.

Szofer poselskiego auta, człowiek, na którego zwrócone były oczy całej Klatwiji i w rękach którego spoczywały nie tylko kierownica, ale i los całych







pokoleń, — dokazywał cudów ostrożności i uwagi, gdy przejeżdżał ulicami Moskwy. Ale i nasi obywatele zrobili postępy. Wyćwiczyli się w swoim fachu i z obliczoną dokładnością trafiali pod koła samochodu. Podobno, szofer, uciekając przed jeszcze jedną ofiarą, kołował po trzech dzielnicach, ale sprytny mały pobiegł przez przejście podwórce i mimo wszystko trafił pod auto. Jeszcze jeden wyrok i jeszcze jedno odszkodowanie. Klatwija ginęła, płaciła i bankrutowała.

Jak tylko nastały pierwsze przymrozki, do Moskwy udał się przewodniczący kooperatywy w naszym miasteczku, tow. Podlinnik. Coprawda, przewodniczący długo wahał się i popłakiwał. Ale żona była bez litości. Widząc szybkie bogacenie się całego niemal miasteczka, towarzyszka Podlinnik nie wytrzymała:

— Idź do roboty. Do Moskwy. Jeśli nie chcesz zarabiać w poselstwie, to ja rzucę się pod pociąg.

Podlinnika odprowadzono hurtem

do stacji. Gdy wsiadał do pociągu, doświadczeni obywatele nie szczędzili rad.

— Uważaj, żebyś nie trafił pod auto. Maszyna djabelnie ciężka. Najlepiej nogę podstawić.

Po upływie dwu dni wrócił Podlinnik. Głowę miał obandażowaną, sińce pod oczami, lewa ręka wisiała bezwładnie.

— Ile? — zapytano go skwapliwie. Tak ciężkie uszkodzenia ciała zdawało się obiecywać poważną pensję.

Ale przewodniczący tylko zapłakał. Milczał, bo wstyd mu było przyznać się, że omylił się i rzucił się pod auto, należące do kartelu metalowców. Szofer zatrzymał w porę maszynę, a potem złapał Podlinnika i porządnie obił go, gdzie się dało. Wygląd ofiary był nietylko opłakany, ale wprost straszny. To tak przeraziło naszych obywateli, że nie próbowali już rzucać się w Moskwie pod auto poselstwa Klatwiji.

Przypadek ten uratował kraj przed kompletną zagładą.

I. ILF. I E. PIETROW





Z łoskotem przewrócił się czworokątny stolik do gry i banknoty rozleciały się na podłogę. Mac Pherson jednym susem rzucił się na szczupłego O'Conney i chwycił go mocnymi rękami za szerokie gardło.

— Podły psie! — syknął Mac Pherson i O'Conney z zastygłymi w śmiertelnym strachu oczami zsunął się z krzesła.

— Zabijesz go chyba! — rzekł spokojnie Pamiogli, tasując mechanicznie karty.

— Już nie żyje! — odparł dysząc Mac Pherson, i podniósł się z ziemi,

strzepując bezmyślnie kurz ze swego kolana.

Kilka minut trwało głębokie milczenie. Potem czwarty z graczy, Cascan, pochylił się i zebrał rozrzucone na podłodze banknoty. Mac Pherson bez słowa wyjął mu je z ręki. Było to 9.000 dolarów, wygranych przez O'Conneya i kwit dłużny na 15.000 dolarów, wystawiony przed kwadransiem przez Mac Phersona. Gdyby O'Conney był z kwitem tym opuścił pokój, Mac Pherson byłby finansowo, zawodowo i towarzysko zrujnowanym człowiekiem.



Filip Mac Pherson należał do filarów palestry nowojorskiej. Zawód jego i chorobliwa namiętność do gry złączyły go ściśle ze światem podziemnym. Tajemnicze jego życie podwójne sprawiło, że za partnerów do gry wybrał sobie takie wątpliwe figury, jak Pamiogli i Cascan. W ostatnich tygodniach miał szczególnego pecha i przegrał cały swój, dość znaczny, majątek. Na bogatego O'Conneya postawił swoją ostatnią kartę. Liczył na pewno, iż wygra od niego wielką sumę. Tymczasem zaś przegrał do niego ostatnie swoje pieniądze.

— Możesz się na nas zdać, Mac Phersonie — rzekł Cascan. Nieraz już wyciągnąłeś nas z błota.

— All right — odparł Mac Pherson. — A więc jazda z O'Conneyem!

— Ale dokąd? — zapytał Cascan.

Ruchem głowy Mac Pherson wskazał na okno. Plan jego był tak prosty, że obaj towarzysze pojęli go bez dalszych wyjaśnień. Gracze znajdowali się na 56 piętrze drapacza Woolworth. Wyrzucone

z tej wysokości ciało O'Conneya musiało na asfalcie ulicy tak się rozbić, że żadną miarą nie zdradziłoby, czy szło o zbrodnię, wypadek czy też samobójstwo. Po przeciwnej stronie nie było domu, nikt przeto nie mógł być świadkiem.

— Zgasić światło! — zakomenderował Mac Pherson. Stali w ciemności. Mac Pherson otworzył okno i wychylił się. Nadole szumiał hałas uliczny wieczornego Nowego Jorku.

— Niema sensu — rzekł Pamiogli. — Zamkną natychmiast cały budynek i będą go przeszukiwać. Nie potrwa długo, a stwierdzą, iż wyrzucono go z tego okna.

Mac Pherson zamyślił się. — O'Conney ma w tym gmachu dwa mieszkania. „Oficjalne“ znajduje się na 48 piętrze, równo pod tem, w którym się znajdujemy.

— A to mieszkanie?

— Wynajęła przed rokiem rzekoma pani Hamilton, która najpункtualniej płaci czynsz. Mieliśmy być jej „gośćmi“,



ażeby spokojnie móc oddawać się grze w karty.

— Nie traćmy zatem czasu — naglił Cascan.

— Pójdiesz więc, Cascanie, natychmiast do mieszkania O'Conneya, numer 765 na 48 piętrze. Oto masz klucz. Nie ma tam nikogo. O'Conney bowiem był dziwakiem, który zawsze chciał być sam. Nie korzystaj jednak z windy, lecz idź schodami.

— A jeśli mnie ktoś spostrzeże?

— Nie powinien cię nikt spostrzec!

W mieszkaniu otworzysz tylko szeroko prawe okno pracowni. Pod oknem zaś położysz — krzesło tak, jakgdyby samohójca, wyskakując oknem, je przewrócił. Rozumiesz?

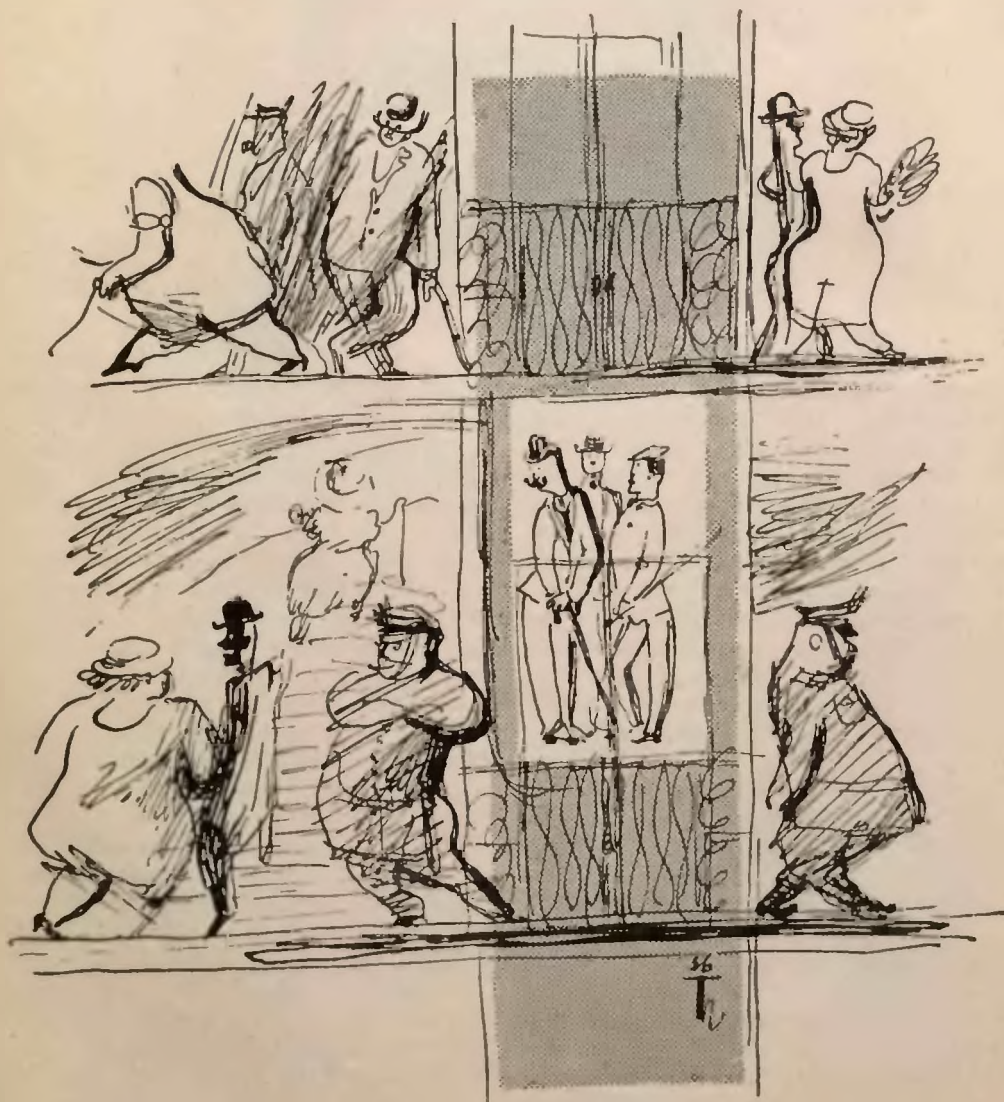
Po chwili Mac Pherson zakomenderował:

— Bierzcie go za nogi!

Wspólnie podnieśli trupa. Pamiogli szepnęli:

— On ma w krawacie — brylantową szpilkę.

— Nie dotykać się — idjoto! — syk-





nał Mac Pherson. — Czy chcesz przez marną szpilkę wpakować nas do kryminału?

Zabity był lekki. Mogli go bez trudu podnieść na blat okna. Silne pchnięcie — i stało się!

Wysłuchiwali się, czy ciało uderzyło o asfalt. Nic jednak nie usłyszeli. Czekali więc, aż zamilknie hałas uliczny. Ale nic się nie stało.

— Że też nic nie było słychać! — szepnął Pamiogli.

— Za wysoko tu jesteśmy — odrzekł Mac Pherson. Zapalił sobie papierosa, ale ręce jego drżały.

— Czy nie powinniśmy zniknąć? — zapytał Pamiogli.

— Nonsens! — odburknął adwokat. — Gmach może w następnej minucie być już osaczony. Tu nam najbezpieczniej.

Czekali.

— Dlaczego Cascan nie wraca? — zapytał Pamiogli, przechadzając się nerwowo po pokoju.

— Ma przecież 8 pięter.

W następnej chwili jednak Mac Pherson stracił cierpliwość. Zerwawszy się, odkręcił światło, otworzył szybko okno i wychylił się.

Głęboko wdole ruch odbywał się, jakgdyby nic się nie stało.

W tej chwili ktoś zastukał do drzwi. Był to Cascan, na którego tak wyczekiwali. Ale Mac Pherson, ujrawszy go, cofnął się przerażony.

Cascan był strasznie zmieniony. Nie mógł utrzymać się na nogach, oczy jego były błędne, a czoło zroszone potem. Zachwiałwszy się, upadł na fotel.

— Okropne! — jęknął. — Trup...

Pamiogli nalał mu kieliszek whisky. Wychyliwszy go, Cascan zdołał dopiero przemówić.

— Mieszkanie było puste, jak powiedziałaś. Natychmiast też zorjentowałem się i otworzyłem prawe okno pracowni. W tej chwili właśnie stało się coś okropnego. Ciemne ciało — spadło z góry...

— Trup?

— Tak, trup. Ale właśnie przed

oknem, które otworzyłem, zatrzymał się nagle i nie spadał dalej.

— Co?

— Zanim jeszcze pojąłem co się stało, chwiała się ręka i noga przed oknem, przy którym stałem. Okropne! Nieżywy O'Conney wisi na wysokości 150 metrów między niebem a ziemią. Zaczepił się o — żelazny drąg chorągwiowy, wystający nad jego mieszkaniem z fasady domu!

— I wciąż jeszcze wisi?

— Tak. W każdej chwili zaś mogą go odkryć. Znajduje się bowiem w samym środku reflektorów, tuż nad swoim mieszkaniem. A chyba jeszcze żaden samobójca, który wyskoczył oknem, nie poleciał — wgórę!

— Musimy natychmiast uciekać — wykrztusił z trudem Mac Pherson.

Nie mówili słowa, czekając na windę. Kiedy dotarli do 48 piętra — ujrzeli przez drzwi windy, dwóch policjantów.

Było zapóźno. Policja osaczyła już gmach. Musieliby zatem wpaść w jej ręce, gdyby zjechali nadół.

Ale Mac Pherson odzyskał już równowagę.

— Do diabła! — zawołał z dobrze udawanym złęknięciem. Zapomniałem swój portfel! Musimy wrócić — rzekł do baya.

W dziesięć minut później wszyscy trzech siedzieli już przy stoliku, zatopieni w grze w karty.

Nagle usłyszeli silne stukanie do drzwi. Cascan otworzył.

Wszedł barczysty, muskularny mężczyzna. A lubo, że był w cywilu, od razu można było poznać, iż jest z policji kryminalnej.

— O, mr. Barker! — powitał go Mac Pherson, pozornie zdziwiony. — Cemuż to zawdzięczamy, ten honor noenry?

— Mr. Mac Pherson? — stwierdził Barker ze zdumieniem, mierząc badawczym wzrokiem małą grupę. — Pan adwokat — w tak dziwnem towarzystwie?

— Och, ci chłopcy są all right! — odparł Mac Pherson z udaną wesołością. — Pani Hamilton zaprosiła nas na

partyjkę, ale przed pół godziną wyszła z resztą towarzystwa na kolację.

— Hm, hazard? — zapytał Barker, patrząc na karty.

— Skądżeż? — odparł Mac Pherson — niewinna gra i w dodatku bez pieniędzy.

— W takim razie miałbym ochotę przyłączyć się do gry, jeśli panowie pozwolą.

Usiadł na miejscu, które zajmował zabity O'Conney. Trzem graczom zrobiło się nieprzyjemnie.

Barker tasował. Nagle zatrzymał się, odłożył karty i zaczął je liczyć.

— To dziwne — rzekł po chwili. —

Tu się coś nie zgadza. Brak jednej karty!

— Niemożliwe — odparł Mac Pherson.

— Brak, asa kier — rzekł Barker z naciskiem i wstał.

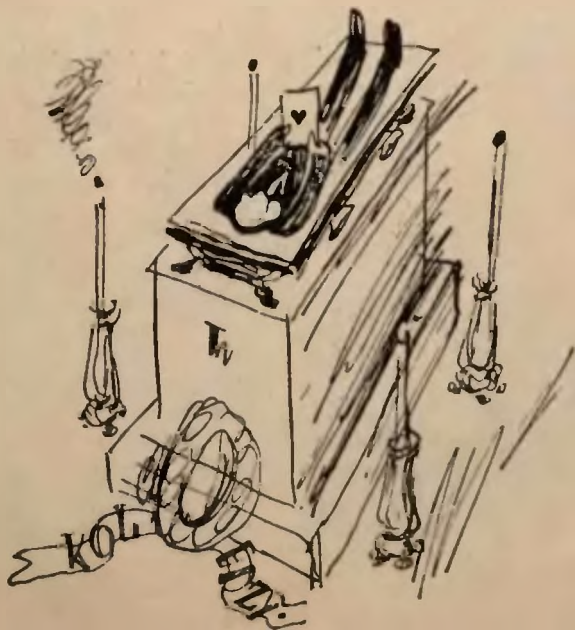
Nagle wyjął brauning i rzekł spokojnie:

— Komedja niema przecież sensu. Panowie są — zaaresztowani!

— Co to ma znaczyć? — krzyknął Mac Pherson.

— Oto — brakujący as kier! Znaleźliśmy go — w rękawie nieżywego O'Conney'

G. W. BARODU







## List w niebieskiej kopercie

**Żona Dymitra Niepriachina otrzymała list w niebieskiej kopercie. Treść była następująca:**

„Pani Zosieńko! Długo myślałem jak rozpocząć... Zresztą to nieważne. Jutro mija tydzień, jak mieszkam tutaj. Jakież 14 km od miasta. Wszędzie dziury, góry piasku i cementu, żelazo i cegły.

Budujemy. Praca wre przez całą dobę. W nocy płoną potoki światła, huczą pneumatyczne młoty, gwiżdżą pociągi. Fabryka rośnie jak w bajce.

Moje życie upływa dość monotonnie. Wstaję rano, wracam z pracy późno. Mam dla siebie zaledwie trzy godziny dziennie.

Czytam, piję herbatę i chodzę po

pokoju. Do żony napisałem, że do niej nie wrócę. Łączył nas tylko syn, ale i on zmarł zeszłego roku. Teraz znowu jestem sam.

Przedemną leży fotografia pani jeszcze z pensji. Ilekroć patrzę na nią, jest mi lepiej. To chyba dlatego, że ja Panią ciągle jeszcze kocham. Adres Pani otrzymałem przypadkowo. Gdy jechałem do Kozłowa — tak nazywa się nasze miasto — spotkałem dawnego kolegę, który również panią zna. Opowiedział wiele. Że wyszła pani za mąż i mieszka teraz w Moskwie.

Z początku nie chciałem pisać. Ale jak Pani widzi piszę i wcale nie mam wyrzutów sumienia. Byłbym bardzo szczęśliwy, gdyby zechciała pani skreślić parę słów odpowiedzi.

Oddany B. Gurin“.

Pani Zofja pokazała list mężowi, dodając:

— Popatrz no, Dymitrze, jakie jeszcze listy miłosne otrzymuję, a ty nazywasz mnie staruchą.

Mąż przeczytał uważnie list:

— Odpiszesz mu?

— Nie — odparła pani Zofja — nie znoszę żadnej korespondencji. Zresztą, to wszystko było tak dawno. Dziś nie pamiętam nawet, jak on wygląda.

— A kto to właściwie jest?

— Borys Gurin? Jeden z kolegów mego brata. Kochał się we mnie w czasach szkolnych. Raz to nawet 10 szklanek wody wypił.

— Cóż za głupstwo! Poco?

— Z miłości. Pewnego razu przyszedł do nas. Brata nie było, więc otworzyłam mu drzwi. Poprosił o szklankę wody. Przyniosłam, wypił. Poprosił ponownie. I tak — dziesięć szklanek. Potem brat powiedział mi, że ten chłopak widząc mnie nie chciał odejść. Więc prosił o wodę i pił. Śmieszny. Nie znosiłam go. Po pierwsze, bardzo brzydki, rumieni się, a uszy ma jak zajac. Po drugie, byłam starsza od niego i już wtedy chodzili za mną studenci. A on co — uczeń.

Mąż wysłuchawszy tej charakterystyki, powiedział:

— A mimo to, może jednak odpiszesz mu. Człowiek pracuje cały dzień przy budowie fabryki, jest samotny, syn mu zmarł. Napewno cieszyłby się z listu. Wiesz, napiszemy razem, ja ci pomogę. Szkoda człowieka.

— Głupstwo — zawołała żona — nie wiem nawet co mu odpisać. Zresztą, co to mnie wszystko obchodzi. Jak chcesz to pisz. Ja nie będę.

Niebieski list został w ręku męża. Przeczytał go jeszcze raz i zrobiło mu się żal Borysa Gurina. W oczach stanęła mu budująca się fabryka. Zobaczył energicznego, jakkolwiek brzydkiego inżyniera. Jak pracuje, jak uwija się na budowie. A nocą inżynier jest sam. Ogarnia go smutek. Wspomina Zosię. Z czasów, gdy miała siedemnaście lat, niebieskie oczy i długie warkoczki. Głupi zakochany inżynier — nie wie, że Zosia stała się starą babą, że zbrzydła i nabrała tuszy.

Napiszę mu o tem — pomyślał Niepriachin. To go uspokoi. — Nie, nie trzeba. To bardzo dobrze, że jest zakochany. To pomaga w pracy. Napiszę mu w imieniu Zosi, niech się ucieszy i lepiej pracuje.

„Drogi Panie Borysie! — tak rozpoczął się list.

Pan mnie zaskoczył. Nie widzieliśmy się przeszło czternaście lat. Zdaje się, że tyle? Przez ten czas wiele się zmieniło i ja się zmieniłam. Lecz nie powiem, abym się sobie podobała. Najważniejszy powód mego niezadowolenia jest ten, że nie mam określonego zajęcia. Gdy czytałam pański list, zazdrościłam Panu, Panie Borysie, Pan musi być szczęśliwy. Pan buduje, ma swoje ideały. To bardzo pięknie. A kim jestem ja — gospodynią? Prawda, że ja dużo przeczytałam i przemyślałam. Ale to nie wystarcza. Wszyscy budują, tworzą, ja zaś jestem na uboczu. Widzi Pan jak szczerze z Panem rozmawiam. Być może dlatego, że czuję do Pana zaufanie. Tacy budowniczowie epoki, jak Pan rozumieją wszystko. No, ale dosyć z tem. Precz sentymenty! Niech Pan pisze częściej, z przyjemnością odpo-



wiem. Proszę pisać też o swojej pracy. Życzę pomyślności Z. N.“.

Po upływie czterech dni Niepriachin otrzymał list, pisany na niebieskim papierze.

„Zosieńko! — pisał Gurin. — Dziś otrzymałem list Pani. Wprost nie do uwierzenia, jak się ucieszyłem. Czuję się pełen sił i pracowałem za dziesięciu ludzi — tu następował opis obecnego stadjum prac. — Zasmuca mnie, że prowadzenie domu nie daje Pani pełnego zadowolenia, lecz dziwi mnie, dlaczego mąż nie pomaga Pani w zdobywaniu wyższego wykształcenia. W Moskwie są po temu możliwości. Oczywiście, gospodarstwo domowe to nie jest powołanie Pani. Przypominam sobie, że Pani kiedyś śpiewała. Nawet marzyła Pani o konserwatorium. A teraz? Zarzuciła Pani śpiew? Nie trzeba rozpaczać. Wszystko jest jeszcze do naprawienia. Całuję ręczki B. Gurin“.

Minał tydzień. Niepriachin nie odpisywał.

Nie miał czasu ani nastroju. List jakoś nie kleił się, zabrakło czułych słów, nawet encyklopedia nie pomogła. Wreszcie po upływie tygodnia nadeszła od Gurina rozpaczliwa korespondencja. Zakochany inżynier pytał o powód milczenia, czynił wyrzuty i błagał o słówko odpowiedzi.

— A to ci nawarzyłem piwa — pomyślał Niepriachin. — Co teraz robić? Nie odpiszę, rozpije się. Szkoda chłopca. I Niepriachin odpowiedział:

„Drogi Borysie! Nie mogłam pisać, chorowałam. A Pan zaraz rozpacza. Nie ładnie. Myślałam, że ma Pan silny charakter, a okazuje się, że daje się Pan ponosić nastrojom. Bardzo nie ładnie. Zosia“.

Dalej Niepriachin pisał o heroizmie epoki, która potrzebuje silnych ludzi, i o tem, że właśnie on, inżynier Gurin, musi mieć niezłomną wolę.

Odpowiedź nadeszła natychmiast:

„Zosieńko droga — opiewał list — jak niewymownie jestem wdzięczny Pani za te słowa otuchy — tu inżynier robił pauzę i brał ton bardziej intymny — ciągle jeszcze Panią kocham. Tylko przymknę oczy i słyszę głos Pani. Proszę o przysłanie fotografii. Ja również przysyłę swoją“.

No — pomyślał Niepriachin — nawarzyłem piwa. Nie wiedział wprost, co odpowiedzieć.

Po upływie tygodnia przyszedł od Gurina rozpaczliwy list.

„Zosieńko, moja jasna radosna dziewczyno, dlaczego Pani nie pisze? Chcę Panią zobaczyć, ja muszę Panią zobaczyć.“

Jeśli się Pani zgodzi przyjadę do Moskwy. Jestem taki stęskniony za Panią, że na samą myśl o spotkaniu z Panią warjuję.

Teraz jest wiosna. Wieczór był ciepły, pełen słonecznej pogody. Nocą otworzyłem okno i do pokoju napłynęły olbrzymie wiosenne gwiazdy. Nie mogłem znaleźć sobie spokoju. Biegałem po pokoju. Czytałem listy Pani. Kładłem się i znów zrywałem się na równe nogi.

Nie mogę spać, Zosiu. Ja wogóle dłużej nie mogę tak cierpieć. Nie mogę żyć bez Ciebie, Zosiu! Nie mogę. Proszę napisać, wyrazić swoją zgodę, a przyjadę. Natychmiast przyjadę.

Chwilami zdaje się, że warjuję. Co raz częściej rozmawiam z Panią. Głośno. Ja przyjadę. Pani: nie wolno. I tak się wyklócamy. Ale ja i tak przyjadę do Pani, chociaż Pani się nie zgadza. Oddany na wieki B. Gurin“.

— Do diabła! — zawołał po przeczytaniu tego listu Niepriachin. — Co z tego wyszło!

Żałował teraz, że tak nieopatrznie podjął korespondencję. Nie było innej rady.

Niepriachin postanowił napisać Gurinowi całą prawdę. Napiszę, zdecydował się Niepriachin — tak mu przed-

stawię tę jego „jasną dziewczynę“, że go szlag trafi. Wtedy się uspokoi.

Zaraz wieczorem Niepriachin siadł do pisania decydującego listu:

„Drogi towarzyszu Gurin! Gdy nadesłał Pan Zosi pierwszy list, to żona dała mi go do przeczytania. Muszę się zastrzec, że listów adresowanych do żony nie czytuję. Ale w tym wypadku żona prosiła mnie o przeczytanie pańskiego listu. Więc przeczytałem i powiedziałem do żony, że powinna odpowiedzieć. Ale ona stanowczo nie chciała. Po temu miała dość ważki argument: że niby niema poco pisać do Pana. Cóż robić? Żona moja to haba uparta, niepodobna jej przekonać. Wtedy postanowiłem odpowiedzieć Panu, jakoby w imieniu adresatki.

Być może, źle zrobiłem. Przyznam się, mam wyrzuty sumienia. Ale tak czy siak, zawiązała się między nami korespondencja.

Przyzwyczałem się do Pana i jego listów, polubiłem Pana jako jednego z naszych dzielnych inżynierów. Nieraz w chwilach ciężkich myśl o Panu była mi otuchą. Teraz zaś o najważniejszym: o Zosi.

Jestem żonaty od dziewięciu lat. Dość miałem czasu, aby poznać charakter żony.

Z początku wycęzałem wszystkie siły, aby Zosię czegokolwiek nauczyć. Napróżno. Ona nawet gazety nie potrafi uważnie przeczytać. Zresztą, żona nie martwiła się tem. Tyła i farbowała sobie włosy.

Gospodarstwo domowe stanowi dla niej prawdziwą przyjemność. Lubi, gdy chwale obiad czy kolację. Menu omawia tydzień naprzód. Zatem jako gospodyni jest w porządku.

Ale Zosia wyklóca się. Nad ranem codziennie klóci się z mleczarką. Tupie nogami i wymyśla jak przekupka. Naciągam wtedy kołdrę po uszy i udaję, że nie słyszę. Bo niech tylko wtrąć się, zaczyna się prawdziwa awantura, łyzy i histerja.

Posyłam Panu fotografię Zosi, aby Pan przekonał się, że nie jest to już ta

dziewczynka, którą pamięta Pan jeszcze ze szkolnych czasów. Niech Pan spojrzy, ile zmarszczek na twarzy. A ten podwójny, ciężko zwisający podbródek...

Pańska „jasna dziewczyna“ nie jest już jasna. Włosy ma ciemne, farbowane.

Pańska „jasna dziewczyna“ waży teraz zgórą pięć pudów.

Jedno, co jej zostało z dawnych lat, to głos.

Często zasiada do rozstrojonego pianina i otwiera swoją wyłożoną sztucznymi zębami paszczę. Wydiera się, wprost ryczy. Jedno i to samo. Przedwojenne piosenki...

Błagam aby wreszcie przestała. Ten śpiew poprostu wypędza mnie z domu.

Tak stoją sprawy, towarzyszu Gurin. Z przykrością czytałem Pańskie listy. Moja żona nie zasłużyła na takie listy. Jestem starszy i dlatego radzę szczerze: pluń Pan na nią. Pan potrzebuje młodej i silnej kobiety, a nie wymalowanej staruchy.

Zegnam więc Pana. Mam nadzieję, że zostaniemy przyjaciółmi. Niech Pan pracuje tak samo energicznie i sumiennie. D. Niepriachin“.

Napisawszy ten list, Niepriachin doznał ulgi. Nazajutrz wyjechał na prowincję i wrócił dopiero za dwa tygodnie. Z dworca wziął dorożkę, aby prędzej zajechać do domu. Do domu, gdzie czekają nań Zosia, czyste skarpetki, bielizna i gorąca wanna.

— Zaraz wezmę kąpiel — marzył sobie Niepriachin. — Potem napiję się kawy z kruchami ciastkami. Zosia napewno naszykowała cały stós. Wie jak bardzo je lubię.

Z tego wszystkiego napadła go tęsknota za żoną.

Bądźcobądź — myślał sobie Niepriachin — przyzwyczałem się do niej. Zresztą, jest dobra.

Tu przyszedł mu na myśl ostatni jego list do Gurina. Poczuł wyrzuty sumienia. „Nie trzeba było tak pisać o żonie. Nie jest taka zła. Ma swoje zalety“. Stanowczo Niepriachin — czuł, że postąpił źle.



Pocieszał się więc jedynie tem, że przecież musiał dać jakąś odprawę temu zakochanemu inżynierowi. A ciekawe, czy odpisał — pomyślał Niepriachin o Gurinie. I znowu myśl wróciła do żony.

„Przed moim odjazdem mówiła mi, że obstaluje mi nową szafę na książki. Pewno już gotowa... Szkoda, że nie kupiłem Zosi żadnego prezentu. Zresztą, nie szkodzi. Dam jej pieniądze, niech sobie kupi, co chce. Tak będzie najlepiej.

Bo znówby mnie piliła, a to za-  
drogo, a to nie to chciałam“.

Niepriachin przynaglił dorożkarza. Bardzo już stęsknił się za żoną. Wreszcie dorożka zatrzymała się przed nowym sześciopiętrowym domem. Niepriachin szybko wyskoczył i poleciał na trzecie piętro. Otworzył drzwi i krzyknął radośnie:

— Zosiu!

Nikt nie odpowiedział. Niepriachin zawołał jeszcze raz, ale w mieszkaniu panowała martwa cisza. Zdziwiony tem Niepriachin obszedł pokoje. W gabinecie na biurku leżał list w niebieskiej kopercie.

List był od żony.

„Dymitrze! — pisała żona — wyjechałam z Borysem Gurinem. Będzie mi z nim lepiej, gdyż on mnie więcej kocha. Pokazał mi wszystkie twoje listy. Czytałam je z bólem. Płakałam wiele. Ale teraz wszystko minęło. Czuję się doskonale. Miłość wróciła mi moją młodość. Nie gniewam się na Ciebie. Tylko poco tak przesadzasz? Wcale nie mam tylu zmarszczek. I ważę, jak tobie wiadomo daleko mniej, aniżeli pięć pudów.. A ty piszesz zaraz: „zgórą pięć pudów“.

Tego Ci nie przebaczę. Zosia“.

BORYS LEWIN



# Listy sprzed 2000 lat

Spróbujmy sobie wyobrazić, że epowodu jakiegoś wielkiego kataklizmu historycznego ginie cała nasza cywilizacja, a z literackiego dobytku zostają niepozorne ilościowo strzępy; okruszki, które przedrukowane w formacie książkowym nie zajęłyby więcej niż jedną półkę biblioteczną. Znalazłoby się tam więc kilkadziesiąt artykułów politycznych z „Gazety Warszawskiej” i „Kurierka”, parę numerów „Szpilek”, po tomiku Staffa, Zegadłowicza, Wierzyńskiego, Tuwima, kilka komedyj Siedleckiego i Perzyńskiego, strategiczne dzieła jakiegoś generała i jeszcze może to czy owo. Jakżeby wyglądał obraz naszego życia, jaki na podstawie wymienionych przed chwilą książek wytworzyłby sobie jakiś czytelnik z 40. wieku po Chrystusie? Prawdopodobnie dość cudacznie. W podobnym mniej więcej położeniu znajduje się dzisiaj przeciętny śmiertelnik, choćby nawet absolwent klasycznego gimnazjum, kiedy pomyśli o rodakach Cycerona. Społeczeństwo starożytne rozpada się na dwie grupy. Pierwsza w pancerzach z mieczami i kopjami ugania się po ostępach Galji czy Germanji, zakłada obóz, buduje most na rzece, przysuwa wieże oblężnicze pod mury jakiegoś miasta, słucha mowy wodza, a wreszcie pokotem zaściela pole, jak ołowiani żołnierze, zmiecenii ręką chłopca, mającego już dość zabawy. Druga część paraduje w niepokalanie białych togach wśród również nużąco białych kolumn portyków. Uosobienia wszelkich cnót obywatelskich grzmiały z mównic na in-

nych osobników, również utogowanych, a będących uosobieniem występku lub zbrodni. Szlachetne i czarne indywidua. Tych ostatnich zda się przybywać z biegiem czasu. Lecz prawdę mówiąc, jedni i drudzi: źli i dobrzy, w pancerzach i togach nie różnią się właściwie od tych cieni elizejskich, które mamy sposobność oglądać z Eneaszem. Nawet, kto wie, czy nie żywszą jest zmarła Dydona, niż żyjący „pobożny Eneasze”, przedziwnie niemiecka kukła pociągana za sznurki przez Olimpijczyków.

Trochę życia w ten posągowy świat wnoszą poeci. Gdyby nie oni, trudno byłoby nam uwierzyć, że te wcielenia cnót czy występków zajmują się czemś poza prowadzeniem wojny i polityką, że śpią, jedzą, piją, bawią się w piłkę, całują. Wprawdzie gdy retoryczny Owidjusz pisze nam *de osculis*, to mamy wrażenie, jakby dwie marmurowe statuy zetknęły się wargami, lecz jeśli zajrzymy przypadkiem do nieszkolnego autora, Katulli z Werony, wionie na nas z wierszy żar niezafałszowanej oratorskim patosem zmysłowości.

*Słońca zachodzić i znów wschodzić  
mogą,  
Gdy nam się przyjdzie pożegnać  
z dnia złotem,  
na noc się trzeba ułożyć już wieczną.  
Więc daj całusów tysiąc i sto potem,  
potem znów tysiąc, znów setkę serdeczną,  
znów tysiąc, znów sto do licznych  
tysięcy,  
by pomieszały się nam te ilości,  
byśmy ich sami nie zliczyli więcej.*



A proszę pamiętać, że zapalczywy kochanek był narażony w niemniejszym jak dzisiaj stopniu na połknięcie porcji karminu, pudru i różu. Choć nie istniał jeszcze Coty, Houbigant, Bourjois, Venetia, sztuka kosmetyczna stała wysoko. Nie można też ręczyć, czy zza rozchylonych namiętnymi pocałunkami warg nie błysnął złoty ząbek, wstawiony przez starożytnego dentystę. A jeśli rzymska piękność, ocknąwszy się z upojenia, szepnie omdlewająco: „Carissime, ureguluj ten rachunek za złotą koronę“, to pocujemy się całkiem swobodnie w towarzystwie antycznych ludzi.

Skoro wchodzimy na teren spraw finansowych, to warto wspomnieć, że taryfa cen maksymalnych, znana nam dopiero od czasów wielkiej wojny, była już wypróbowana za panowania cesarza Dioklecjana. Już wtenczas chwyciono się tego środka, mającego zabezpieczyć konsumenta przed spekulacją na przedmiotach pierwszej potrzeby. Jeżeli zestawimy te ceny sprzed szesnastu wieków z dzisiejszemi, przyjmując cenę żyta za miernik porównawczy, dojdziemy do ciekawych rezultatów. Okazuje się, że ceny utrzymywały się mniej więcej na tym samym poziomie i raczej dziś są nieco niższe, niż w tych sławionych „dawnych, dobrych czasach“. Czasem różnica jest dość znaczna. Np. zając i gęś kosztowały kilkakrotnie więcej; mak był tylko trzy razy tańszy. Lecz jakaż stąd pociecha dla rzymskich matron, skoro nie urządały święconego z nieodzownemi struclami. Jakże nam myśl o tych paskarzach, przeciw którym Dioklecjan wydał wspomnianą taryfę, uczłowieczy starożytne społeczeństwo.

Lub wczytajmy się dobrze w opis krachu giełdowego, wywołanego wojną z Mitydatem. Porzućmy szablon szkolnych tłumaczeń, użyjmy żywych współczesnych wyrażań, a oto otoczy nas nagle tłum roznamiętniony, żywo gestykujący, kłący soczyście w języku, co znacznie odbiegł od cyceronowej składni i stylistyki, tłum czarnowłosa i czarnooki, którego sfalowane nosy nasuną nam przypuszczenie, że znajdujemy się nie

w starożytnym Rzymie lecz na ulicy Królewskiej.

Niestety literatura, nieznająca powieści obyczajowej, skąpo i tylko dla wprawniejszego oka odsłania rąbek prawdziwego życia spod twardego pokostu retorycznych zwrotów. Stąd ta koturnowość starożytności, stąd ten dystans, którego same wieki nie mogą usprawiedliwić. Wciąż mamy wrażenie, że ci utogotowani mężowie nigdy nie byli dziećmi: swawolnymi Dyziami, lecz odrazu przychodzili na świat, by podbijać kraje, wygłaszać mądre mowy, lub napisać kilka sentencji na użytek przyszłych wieków.

Gdzieindziej przyjdzie nam szukać śladów tego codziennego, zrozumiałego życia, co z posagowych postaci uczynią żywych ludzi. W piaskach Egiptu, w których tak pięknie zakonserwowały się mumje czcigodnych faraonów, ustrzegły się też przed „zawistnym zębem czasu“ dokumenty, niemające nic, a w każdym razie mało wspólnego z literaturą, wiele natomiast z życiem. Wybór ich, z którego korzystam dla niniejszego feljetonu wydała zasłużona na polu filologii firma Weidmanna. Są to t. zw. papyrusy z Oxyrhynchu, pochodzące mniej więcej z początków naszej ery, a pisane w języku greckim, który zwłaszcza w tej części imperjum rzymskiego był w powszechnem użyciu. Treść ich bardzo rozmaita. Mamy rozporządzenia władz, weksle, (i to bodaj nieprotestowane), rekursy na zarządzenia i nadużycia organów urzędu podatkowego, interczy małżeńskie i akty rozwodowe, wypracowania szkolne, z których się okazuje, że ortografia nie należała do przesądów *ancien regime'u*, a wreszcie część najbardziej interesująca — listy. Nie te pisane przez wybornych stylistów, rzeźbione starannie w ciągłej trosce o przyszłych biografów, *genus epistolarium* piękny ale zimny. Z tych listów egipskich wychylają się ku nam twarze szarego tłumu, co nie tworzył historii; twarze kupców, rzemieślników, wyrobników na których te same codzienne zgryzoty, co nam dokuczają po dwu tysiącach lat, zostawiły piętno zmarszczek,

twarze, rozjaśniające się tą samą szczypłą szczęścia, która i nam przypada czasem w udziale.

Bierzemy pierwszy z tych listów. Po dłużna, wąska kartka papyrusu. Pismo przyciężkie, niewprawne. Widać w ręce co ten list pisała nieczęsto znajdował się „calamus“ kawałek trzciny, zastępującej dzisiajse watermamy. List datowany z Aleksandrji, d. 17 maja na rok przed urodzeniem Chrystusa. Píše go robotnik Hilarion do żony, którą zostawił w Oxyrhynchu. W małej mieścinie trudno widać było o pracę i zarobek a Hilarion prócz żony miał do wyżywienia synka i bodajże teściowę. Ruszył więc z całą partją bezrobotnych, może zaangażowanych przez jakiegoś przedsiębiorcę do Aleksandrji. Wiadoma rzecz, w stolicy łatwiej o kawałek chleba. Robota, widać sezonowa, skończyła się jednak, towarzysze Hilariona wracają a on postanowił zostać w Aleksandrji. Nie znamy dokładnie przyczyny. Może ma nadzieję, że w wielkiem mieście łatwiej dostanie jakieś stałe zajęcie, a wtenczas uda mu się sprowadzić do siebie rodzinę. Z listu odnosimy wrażenie, że musiał to być porządny człowiek. Do żony pisze bardzo serdecznie: niech się nie martwi tem, że w tej chwili jeszcze nie może wrócić, pieniądze zaraz jej przysła, jak jemu samemu wypłaca. Dobiegły go skargi jej, że może już zapomniiał o żonie. Zwraca się z delikatnym wyrzutem: „Jak mogę zapomnieć o tobie?“. Troskliwie dopytuje się o synka, przesyła pełne kurtuazji pozdrowienia dla teściowej. Lecz kto wie czy podejrzenia biednej Alis nie są prawdziwe. Może te wszystkie czułe słowa mają ją tylko uspokoić, może nigdy nie dostanie obiecanych pieniędzy, bo je mąż roztrwonił po szynczkach Aleksandrji przy kubku wina, w towarzystwie podrzędnego rodzaju heter, jakimi słynęła stolica Ptolemeuszów. Dlatego też nie kwapi się spowrotem do domu, gdzie mniej będzie okazji do hulanki. Jest jeszcze jeden ciekawy *passus* tego listu. Alis spodziewa się rozwiązania; mąż jej życzy szczęśliwego porodu i dodaje: „Jeśli będzie syn zostaw, jeśli córka wyrzuć.

Widzimy, że kwestja powiększenia rodziny już wtedy była dość ciężka dla ubogiego robotnika, *zweikindersystem* przewyższa jego środki materialne. Ten motyw sprawia, że list mógłby sam przez się zapoczątkować słynne „Pieśń kobiet“; stać się tematem feljetonu w kwestji tak pięknej i tak zdawałoby się nowożytnej, powojennej.

W innym znów liście słuchamy przestrog ojcowskich, udzielanych synowi, bawiącemu w stolicy na studjach. Niech mniej przestaje ze znajomkami a bardziej się bierze do książek, bo z nich będzie miał pożytek; i niech nie zapomni przysłać do domu... brudnej bielizny. Czyż dzisiaj niejeden ze studentów nie otrzymuje listu tej samej kubek w kubek treści?

A oto jeszcze jeden rozkoszny dokument. Autorem jego mały mniejwięcej dziesięcioletni Teonek. Chłopiec, pewnie jednak musiał być oczkiem w głowie u tatusia, po którym nosi imię. Ojciec często jeździł w handlowych sprawach do stolicy i Teonek niemało nasłuchiwał się o wspaniałościach Aleksandrji, o sklepach pełnych zabawek i słodczy, o widowiskach, ogrodach, gmachach. Dalej męczyć ojca, by wziął go z sobą. Stary Teon przyrzekł dla świętego spokoju, lecz rozważywszy rzecz doszedł do przekonania, że byłoby nonsensem zabierać z sobą do ludnej stolicy chłopca żywego jak skra, nieopanowanego i nieposłusznego. Zawojowany jednak zupełnie przez benjaminka nie miał odwagi wprost mu odmówić. Udał, że wyjeżdża tylko do pobliskiego miasta i spodziewał się, że paczką laskoci osłodzi synkowi zawód. Ale Teonek znał już pewne powiedzenie: „bujac to my“. Skrobnął epistołę do ojca w tonie zdecydowanego ultimatum: nie chce jego słodczy i nie da się przeprosić, nie powie mu już nigdy „chajn“ na dzień dobry i nie poda rączki. Nie ulega wątpliwości, stary Teon pchnął duchem z Aleksandrji pościłca, aby mu przywieziono chłopca. Zawojowani rodzice i rozpuszczone smyki to też nie dzisiejszy wypadek — mimo wszelkich pozorów.

STEFFI



Raoul Collard

# KONKURENCI

W dzielnicy willowej kroczył późną letnią nocą elegancko ubrany młódzian. Spojrzawszy na parter narożnej willi stanął nagle. Nie, oko go nie omyliło. Mocna krata żelazna jednego z okien

dziwnie się — chwiała. W następnej chwili stwierdził, że była przepiłowana.

— Włamanie! — szepnął. Napewno „robota“ jest teraz w pełnym toku. Gdyby tak zawiadomić policję — niezłaby to była sztuczka!

Na zakręcie ulicy spotkał inspektora policji.

— W tej willi narożnej musiał się ktoś włamać! Niech pan zawezwie pomocy





i każe wilę osaczyć. Ja tymczasem będę uważał, by włamywacz nie uciekł. A mam przy sobie brownig.

Po niejakiem czasie kilku policjantów ukryło się w cieniu sąsiednich will. Inspektor zaś z brauningiem w ręku wlaźł oknem, którego kraty były przepiłowane. W chwilę potem elegancko ubrany młodzian wślizgnął się za nim.

Nagle w przyległym pokoju, którego drzwi były otwarte, ktoś odczuwał się głośno: „Kto tu?” W tej samej chwili zaś słyhać było odkręcenie kontaktu. W blasku światła elektrycznego inspektor i elegancko ubrany młodzian ujrzeli starszego pana w bonżurce.

— Skąd panowie się tu wzięli i cze-

go chcecie? — zapytał z największym spokojem.

Na to młodzian:

— Jesteśmy przekonani, że ktoś się tu włamał. Krata okna bowiem jest przepiłowana. Nie ulega wątpliwości, że włamywacz musi się tu jeszcze znajdować. Umknąć nie mógł, ponieważ wil-  
la jest otoczona policją.

— Światło zgasić, bo rzezimieszek mógłby nas zobaczyć — zawołał inspektor. — Panowie tu zostaną, a ja sam przeszukam wilę!

Tuż po wyjściu inspektora elegancko ubrany młodzian niepostrzeżenie wysunął się z pokoju i pobiegł szybko na pierwsze piętro. Zanim zaś jeszcze in-



spektor po gruntownym przeszukaniu parteru udał się na pierwsze piętro, młodzian cichaczem wrócił do pokoju parterowego, w którym stał starszy pan w bonzurce.

— Włamywacza nigdzie niema! Przeszukałem wszystkie ubikacje! — temi słowy wszedł inspektor do pokoju parterowego.

— Musiał zatem jednak w jakiś sposób umknąć — odezwał się starszy pan. W każdym razie jestem panom wdzięczny za ich fatywę. Kto wie z jakiego uratowaliście mnie niebezpieczeństwa! Włamywacze dzisiejsi nie wahają się przeciwieć nawet przed morderstwem, gdy widzą się przyłapani. — Pozwól panowie — kieliszek koniaku!

Z największym spokojem podszedł starszy pan do kredensu i wyjął flaszkę i kieliszki.

— Szanowny pan jest naprawdę bardzo szarmancki — odezwał się elegancko ubrany młodzian. Spełniłszy bowiem tylko samo przez się zrozumiały obowiązek. Najwyższy czas zresztą, byśmy się zaznajomili. Mieszkam w sąsiedztwie i oddawna pragnąłem wiedzieć, do kogo należy ta urocza willa.

— Nazywam się — Pierre Vallot, — rzekł starszy pan z godnością.

— Naprawdę? — odparł młodzian i wyjąwszy portfel podał starszemu panu — bilet wizytowy.

Ledwie starszy pan rzucił okiem na wizytówkę — zaklął i wydobyl z kieszeni browning.

— Ręce do góry! — krzyknął w tej chwili młodzian i skierował swój browning na starszego pana. Jednocześnie zaś zawołał: — Oto włamywacz, panie inspektorze!

W następnej chwili ręce starszego pana były skrępowane kajdankami.

— Oczywiście, że ja sam jestem — Vallot i właścicielem tej willi — odezwał się młodzian. — Przepraszam za małą komedję, ale nie miałem ochoty paść ofiarą rzezimieszka!

— A teraz pozwoli pan — rzekł do inspektora, że ja zaproszę pana na kieliszek, ale czegoś lepszego, niż koniak. Pan włamywacz — dodał z uśmie-

chem — naturalnie nie wiedział, gdzie znajdują się moje najlepsze trunki!

Po tych słowach otworzył małe drzwi tapetowe i wprowadził swego „gościa“ na pierwsze piętro do pięknie umebloowanej pracowni.

Kiedy inspektor opuścił już z rzezimieszką willę, elegancko ubrany młodzian z uśmiechem począł spokojnie — dobierać się do wmurowanego w ścianę pracowni safes'u — — —

Po pół godzinie wyszedł z willi i na najbliższym zakręcie ulic — wpadł w ręce inspektora policji.

— Więc jednak się nie omyliłem! — rzekł z uśmiechem inspektor. Mała komedja była przez pana wcale dobrze zagrana. Zwłaszcza scena z biletem wizytowym. Nie udała się panu natomiast — rola gospodarza. Otwierając bowiem drzwi tapetowe, próbował pan je — pchnąć, pomimo że otwierały się na zewnątrz. Pech — co?

— No a teraz chodźmy! Na drugi raz powinien pan być ostrożniejszy — — —



# Okropności South-Lambeth

(Z pamiętnika kryminologa angielskiego)

Jedną z najbardziej ponurych osobistości, jaką znają angielskie kroniki kryminalne, jest bezsprzecznie Szkot, dr. Neill. Jego dzieje są dowodem, iż zbrodnicze instynkty niektórych ludzi przechodzą wszelkie wyobrażenia.

Tomasz Neill, wyemigrował jako małe dziecko, wraz ze swymi rodzicami, ze Szkocji do Kanady. W wieku lat 22 wstąpił na uniwersytet w Montrealu, który ukończył z tytułem doktora medycyny. Już podczas pobytu na uniwersytecie zwracał uwagę dziwną nierównością swego charakteru, przedstawiającego mieszaninę dobrych i złych instynktów.

Zaręczony z młodą dziewczyną, zarzykował jej i swoje życie, przez dokonanie na niej niedozwolonej operacji. Do małżeństwa został zmuszony przez ojca, który nie zawahał się przed zagrożeniem pistoletem swemu synowi. W tym samym czasie był Tomasz Neill nauczycielem w szkółce prezbiterjańskiej.

Żona jego umarła po krótkim czasie na chorobę płuc. Neill wyjechał do Londynu, gdzie, jak stwierdzają akta tego okresu, kształcił się praktycznie w szpitalu św. Tomasza. Po złożeniu egzaminu na dyplom wyższy, Neill powraca do Kanady, a następnie jedzie do Stanów Zjedn., praktykując w Chicago, najczęściej w dziedzinie niedozwolonych zabiegów.

Smutną sławę przynosi mu afera z małżeństwem Scott. Neill bowiem uwiódł swą pacjentkę, a następnie w podstępny sposób zabił jej męża. Sąd skazał go na dożywotnie ciężkie roboty.

Po odbyciu 10-ciu lat więzienia, Neill został, ze względu na stan zdrowia, zwolniony i powrócił pod własnym nazwiskiem do Anglii. Zamieszkał w Lambeth, na drugim piętrze domu, należącego do niejakej p. Sleaper.

Neill odznaczał się charakterystycznym wyglądem. Był bardzo wysoki, miał szerokie ramiona i nosił czarny wąsik. Szpeciły go: łysina i zez oczu, zresztą bardzo wyrazistych, które starał się poprawić przez noszenie specjalnych szkieł.

Po krótkim okresie ponownej nauki Neill zaprzestał chodzenia do szpitala. Nie wydaje się też, by się zabrał do jakiegokolwiek pracy, chociaż był dość dobrze zaopatrzony w pieniądze.

Możliwe, że otrzymał je w spadku po ojcu, który był konstruktorem okrętów i zmarł o kilka lat wcześniej przed drugą podróżą syna do Anglii.

Dr. Neill był zwolennikiem nocnych eskapad. Z nadejściem wieczoru znajdował łatwo miejsce dla zabawy w teatrzykach, music-hallach i knajpach, po obydwu stronach Tamizy. Wkrótce stał się popularnym bywalcem tych instytucyj. Zaczęto mówić o tym człowieku, zawsze eleganckim, noszącym jeden z owych potwornych kapeluszy wysokich, o małym rondzie, które były ostatnim krzykiem mody u schyłku zeszłego stulecia.

Zupełnie blisko mieszkania dr. Neilla znajdowały się jego ulubione lokale: Canterbury Music-hall, w którym występowały wszystkie „gwiazdy“ owych czasów; Astley, słynny w swoim czasie melanz cyrku i teatru; nieco dalej Surrey, ze swoją galerją za sześć pen-



sów, parterem za szylinga, ze staro-  
świeckim szynkiem i krającemi serce  
melodramatami. Na samym końcu na-  
leży postawić „Old Vic“, gdzie nowa  
dyrekcja podniosła wybitnie poziom  
i zwracała uwagę na wstrzemięźliwość.  
Należy dlatego przypuszczać, że w tym  
lokalu był dr. Neill najrzadszym go-  
ściem.

Dr. Neill wychodził na miasto zawsze  
sam, bez przyjaciół. Był to jednak czło-  
wiek, mający za sobą dziesięć lat cięż-  
kich robót i o upodobaniach niezbyt  
wybrednych. Neill był zawsze gotów do  
rozmowy z przygodnym znajomym re-  
stauracyjnym. Rozmowa z nim była in-  
teresująca, gdyż wiele podróżował, znał  
się na muzyce i śpiewie, chętnie opowia-  
dał o słynnych śpiewakach i aktorach.

Był też wybitnym znawcą kazań, cy-  
tował chętnie kaznodziejów słynnych  
po obydwu stronach Atlantyku. Tema-  
tem jednakowoż, który podejmował naj-  
chętniej, była kwestja kobieca, która  
ostatecznie przyczyniła się do jego  
zguby.

Neill nosił zawsze przy sobie pewną  
ilość obrzydliwych fotografii, a w roz-  
mowie wybuchały z niego tak niskie  
i ohydne myśli, że z miejsca zniechęcał  
do siebie każdego przyzwoitszego czło-  
wieka.

Dr. Neill szukał przedewszystkiem  
młodych, samotnych kobiet, tych „z  
niezliczonej armji, z legjonu dziewcząt  
straconych“, która, tak jak on, wycho-  
dziły z nadejściem nocy na miasto po  
lekkie znajomości i rozrywki. Dla ta-  
kich podbojów wystarczało „zrobienie  
oka“ i uśmiech, a człowiek mający  
w kieszeni trochę grosza i odrobinę  
przedsiębiorczości, zyskiwał z miejsca  
ich zaufanie.

Żadna z przygodnych znajomych dr.  
Neilla nie przypuszczała, że był on jed-  
nym z najstraszniejszych potworów  
w ludzkim ciecie, myślącym tylko o jed-  
nej rzeczy: o morderstwie bez powodu.

Dr. Neill nosił zawsze ze sobą sporą  
dozę strychniny w kapsułkach, co uła-  
twiało przekłnięcie tego specyfiku o nie-  
miłym smaku. Umiał nakłonić swe ofia-

ry do przyjęcia ich pod jakimkolwiek  
pozorem, zanim je opuszczał. Czynił to  
zawsze w najmielszy sposób.

W niektórych wypadkach prosił swe  
przygodne znajome o wypicie z nim  
w tawernie szklaneczki wina, w innych  
wypadkach nie dawał inaczej fatalnej  
pigułki, jak tylko będąc sam na sam  
z ofiarą. Nigdy nie był obecny przy  
agonji nieszczęśliwych, bo troska o wła-  
sne bezpieczeństwo była w nim silniej-  
sza od wszelkich innych uczuć.

Pierwszą tego rodzaju zbrodnią, o któ-  
rą go oskarżono w Londynie, było otru-  
cie młodej dziewczyny Ellen Donworth.  
Neill spotkał ją w barze oberży na Wa-  
terloo Road, 13 października 1891 ro-  
ku, między g. 6 a 7. Była to dziewiętna-  
stoletnia dziewczyna, mieszkająca na są-  
siedniej ulicy, nie cieszącej się najlepszą  
opinją.

W godzinę później gdy już sama szła  
ulicą, zachwiała się i upadła. Cierpiącą  
straszenie, przeniesiono do mieszkania,  
gdzie w przeblysku przytomności po-  
wiedziała gospodyni o wysokim człowie-  
ku, który ofiarował jej napitek. Przy-  
były lekarz stwierdził otrucie strychni-  
ną. Dziewczyna w drodze do szpitala  
zmarła a autopsja potwierdziła słu-  
szość diagnozy lekarza.

Sensacja w związku z tą śmiercią nie  
trwała długo. Zatrzymany jubiler-komi-  
wojażer nie miał trudu z dowiedzeniem  
swej niewinności.

W tydzień później w podobnych wa-  
runkach wybuchła nowa sensacja, nie-  
mniej tajemnicza od poprzedniej. W jed-  
nym z domów na Lambeth Road mie-  
szkała 26-letnia kobieta, znana pod na-  
zwiskiem Matyldy Chover. Aczkolwiek  
nie miała męża, była matką dwuletnie-  
go chłopczyka. Zajmowała pokój w do-  
mu o złej reputacji, trzymana tam przez  
kobietę, zwaną w tej dzielnicy „matką  
Philips“.

Matylda Chover była kobietą młodą,  
o miłej powierzchowności, dobrze zbu-  
dowana, nosiła niebrzydką szarą su-  
kienkę i szeroki fartuch, podtrzymywa-  
ny na ramionach wstążkami. Jej gospo-  
dyni pozwalała na „przyjmowanie pa-  
nów“ w swoim pokoju, a dziecko w tych

wypadkach było powierzane opiece „matki Philips”.

Wieczorem, 20 października Chover przyszła z wysokim mężczyzną o szerokich ramionach, mającym na wygląd około lat 40, ubranym czysto, w wysokim kapeluszu i okularach. Znajomość zawarta jeszcze poprzedniego dnia. Nowy znajomy kupił jej parę bucików.

W krótkim czasie po wejściu do pokoju Chover wyszła i wróciła wkrótce zbutelką piwa. Koło godz. 10 osobnik ów opuścił dom, odprowadzany przez swą przyjaciółkę, której ostatnimi słowami były: „dobranoc, kochanie”.

Około godz. 3 nad ranem mieszkańcy domu obudzeni zostali przeraźliwymi krzykami. „Matka Philips” jednym sussem znalazła się przy Matyldzie Chover, którą zastała w agonji. Chover mówiła, że została otruta pigułką, którą dał jej jeden pan. Wezwany lekarz stwierdził, że umarła w ataku delirium tremens...

W dwa czy trzy dni później przechadzała się za teatrem Allhambra młoda kobieta, legitymująca się jako Luiza Harvey. Mieszkała w Saint-James Wood, chwilowo z jakimś młodym robotnikiem, którego nazwiska pożyczyla sobie dla zachowania pozorów.

Na końcu deptaku, przy wielkim barze poznała pewnego łysego człowieka, noszącego okulary i mocno zezującego, z którym ostatecznie spędziła noc w pobliskim hotelu. Nowy przyjaciel powiedział jej, że jest doktorem, a rano zauważył, że ma ona na czole jakieś małe plamki. Prosił ją, by przyszła tego jeszcze wieczora na nadbrzeże przy dworcu Charing Cross, obiecując, że przyniesie pigułki, które usuną te krostki.

Gdy Luiza rozstała się z Neillem i wróciła do domu opowiedziała wszystko Harvey'owi, który przyrzekł towarzyszyć jej na spotkanie z doktorem. Gdy przyszła z 20-minutowym opóźnieniem, Neill już czekał. Zapytała go, czy pamiętał o pigułkach. Odpowiedział twierdząco i równocześnie zaproponował wypicie szklaneczki wina w sąsiednim kabarecie.

Dziewczyna zgodziła się na zaproszenie. Przyjaciel jej szedł przez cały czas

za nimi, nie tracąc ich z oczu. W barze dziewczyna wzięła pigułki w prawą dłoń i udając, że je połyka rzuciła za siebie. Coś jednak w jej zachowaniu wzbudziło nieufność Neilla. Kazał jej pokazać ręce. Obie jednak były puste. Pigułki znikły.

Neill w świetnym humorze zaofiarował dziewczynie 5 szylingów, by kupiła sobie bilet do Music-hallu na Oxford Street, obiecał, że będzie czekał na nią przy wyjściu o godz. 11, pożegnał się i znikł w kierunku mostu westminsterskiego.

Dziewczyna poszła do music-hallu, ale o oznaczonej godzinie Neill nie przyszedł. Myślał napewno, że o tej porze dziewczyna już kona albo już umarła.

W miesiąc później spostrzegł ją w Piccadilly Circus i Luiza podeszła do niego. Neill już zapomniał o niej zupełnie, ale według swego ceremonjału zaprosił ją na szklanekę wina do zajazdu w Air Street. Po krótkiej rozmowie wyznaczył jej spotkanie na wieczór.

Gdy się rozstawali dziewczyna zapytała Neilla czy jej nie poznaje. Dopiero gdy wymieniła nazwisko, przypomniał sobie Neill dziewczynę i zmiejsca odwrócił się i odszedł. W dwa czy trzy tygodnie później widziała go znów w towarzystwie młodej kobiety, ale Neill udał, że jej nie widzi.

W kilka miesięcy później, gdy Luiza mieszkała w Brighton, uwagę jej zwrócił artykuł w „Daily Telegraph”. Chodziło o sprawę, w której oskarżano pewnego człowieka o otrucie Matyldy Chover. Ku ogromnemu zdziwieniu ujrzała Luiza swoje imię, wśród kobiet zdradziecko otrutych przez nędznika.

Luiza napisała niezwłocznie list do urzędnika sądowego, sir Johna Bridge'a, opisując cały przebieg swej znajomości z „doktorem” i oddając się do dyspozycji sądu w tej sprawie. Była też jednym z najważniejszych świadków w procesie Neilla.

Ale nie uprzedzajmy wypadków. Przyjrzyjmy się dziejom dr. Neilla. W dzień wilji Bożego Narodzenia 1891 roku widzimy go, spędzającego wieczór z rodziną Sleeper, śpiewającego poboż-



ne pieśni i akompaniującego na cytrze.

W kwietniu jest Neill zamieszany w pewną historję. Dwie ładne dziewczyny przybyły do Londynu z Sussex i zamieszkały w jednym z domów na Stramford Street, gdzie zatrudniały się nierządem.

11 kwietnia konstabl Cumley przechodząc o bardzo wczesnej godzinie tandy, zauważył wysokiego człowieka, noszącego wysoki kapelusz i okulary, wychodzącego z tamtego domu. W trzy kwadranse później policjant został wezwany do tego samego mieszkania, gdzie znalazł jedną z dziewczyn w trakcie przenoszenia do wozu szpitalnego. W pokoju zastał drugą dziewczynę, zaledwie 18-letnią, siedzącą nieruchomo na krześle. Obydwie umarły w krótkim czasie potem. Symptomy były u obydwu dziewczyn te same, co u Matyldy Chover. Zatrucie strychniną. Kim był truciciel pozostało jak i w tamtym wypadku tajemnicą.

Jednak konstabl Cumley rozpoczął na własną rękę poszukiwania owego wysokiego pana, którego widział krytycznego dnia nad ranem.

Obejrzyjmy teraz z drugiej strony osobnika, o którym mowa. Dr. Neill, po każdym ze swych występów, chciał jeszcze na nich zarobić, bądź schlebując ludziom, bądź szantażując. Za każdym jednak razem obierał nieprawdopodobne osoby, aby wystrychnąć je na dudka. Po śmierci Ellen Donworth wysłał następujący list:

„G. P. Wyatt, esq. poseł.

Piszę, aby powiadomić pana, że jeżeli pan i jego satelici nie będziecie mogli zatrzymać mordercy Ellen Donworth, gotów jestem go przyprowadzić, jeżeli za oddaną przysługę otrzymam sumę 300.000 funtów. G. O. Brien, detektyw“.

Innym razem napisał list do mr. Smitha, szantażując go wywołaniem skandalu i twierdząc, że ten czcigodny kupiec zamieszany jest do sprawy zabójstwa Ellen Donworth.

Po śmierci dwu młodych dziewcząt Neill napisał list do ojca młodego stu-

denta medycyny, mieszkającego w tym samym domu, oskarżając młodzieńca o podwójne zabójstwo i żądając 1500 funtów za dowody znajdujące się w jego rękę. List ten był podpisany: W. Murray.

Oto kilka zdań z tego listu: Ogłoszenie dokumentu zrukuje pana i jego rodzinę w taki sposób, że widząc członków swej rodziny, nie będzie pan się wysilał dla wyobrażenia sobie robót przymusowych, które czekają pańskiego syna...”

Ze wszystkich prób szantażu najbardziej podła była afery Neilla po zabójstwie Matyldy Chover. Szukając ofiary wśród najbardziej znanych ludzi wybrał sobie dr. W. H. Broadbenta, jednego z najbardziej poważanych w Londynie lekarzy, któremu królowa Wiktorja przyznała tytuł barona.

W liście tym, podpisany W. Malone, Neill wzywał doktora B. do złożenia sumy 2.500 funtów „detektywowi“, który zna tajemnicę zbrodni popełnionej przez dr. B. na Matyldzie Chover.

Wszystkie listy zbrodniarza oddawano policji. Dokumenty te świadczyły na sprawie o tem, że autor ich dobrze wiedział, czem otruto ofiary zbrodni. Było to jedno z odkryć, które odegrało również wielką rolę w aresztowaniu Neilla. Należy podkreślić stałość z jaką ten człowiek spełniał swe zbrodnie a jednocześnie kopał sobie grób.

Neill poznał w jednym z lokali nocnych mechanika nazwiskiem Hayens, którego uczynił swym powiernikiem. Pokazał mu z wielką dumą swoje pudełko z lekami, dyskutował z nim nad ostatnimi tragedjami trucicielskimi,

pl. trzech  
krzyży 18  
wzrost — TO —  
kowskie jakość  
marszałkowska 92

# KAWA ARABIA



MARSZAŁKOWSKA 105  
NOWY ŚWIAT 15

opowiadał mu swoje podejrzenia i twierdził stanowczo, że trupa Matyldy Chover powinno się ekshumować i dokonać autopsji.

W jednej z rozmów Neill opowiedział historię biednej dziewczyny Luizy Harvey, której tajemniczy bandyta dał truciznę i która umarła w pewnym musichallu. Mr. Haynes, który poza swym zawodem mechanika, był pozatem prywatnym agentem śledczym, pilnie słuchał tych historii, opowydanych przez Neilla i nawet czynił w jego obecności notatki.

Spotykali się często, a Neill pokazywał swemu przyjacielowi domy, w których mieszkaly ofiary. Pewnego razu wskazał nawet dom biednej Luizy Harvey. Opowiadał też o listach szantażujących.

Pewnego dnia gdy Haynes i Neill przejeżdżali autobusem przez Strand usłyszeli wołanie gazeciarzy: „Aresztowanie zbrodniarza ze Straniford Street“.

Doktor wydał się niezwykle zdziwiony. Niezwłocznie kupił gazetę i prosił przyjaciela, by mu przeczytał te sensa-

cyjne nowiny. Z ulgą odetchnął, gdy usłyszał, że chodzi o innego zbrodniarza z tej samej ulicy.

Hayens zdecydował, że chwila jest odpowiednia. Zdał sprawę ze swych obserwacji sierżantowi Mc. Intyre z brygady kryminalnej, który skolei opowiedział o sprawie swym szefom. 3 czerwca dr. Neill został aresztowany pod zarzutem szantażu listowego.

Na światło wyszły i inne sprawy. Ekshumowano ciało Matyldy Chover i wykryto strychninę. Przy aresztancie znaleziono obszerny list o dwu ofiarach. Luiza Harvey „wyszła z grobu“ i opowiedziała swoje wspomnienia.

Dr. Tomasz Neill stanął 17 września przed przysięgłymi, oskarżony o morderstwo. Akt oskarżenia zarzucał Neillowi cztery zbrodnie. Czterdziestu świadków świadczyło na rzecz oskarżenia, ani jeden nie stanął w obronie zbrodniarza. Obroncą jego był jeden z najlepszych adwokatów angielskich. Ale sprawa była zbyt jaśna. Wyrok brzmiał: kara śmierci!

Ministerstwo uznało za niewystarczające świadectwa jego choroby umysłowej. Tomasz Neill został powieszony na podwórzu więzienia w Newgate. Gdy ogromny tłum czekający przed więzieniem ujrzał wywieszoną czarną chorągiew, wydał westchnienie ulgi: sprawiedliwości stało się zadość.

Neill nawet w więzieniu nie przestał być odpychający. Wracając do celi po obronie adwokata, o której myślał, że przechyliła szalę na jego korzyść, tańczył i śpiewał, jak rozbawiony murzyn.

W końcu innego posiedzenia, gdy sprawy zaczęły przybierać zły obrót, rzucił się z przekleństwami na strażników, którzy go pilnowali.

Różni słynni zbrodniarze, mordercy i truciele posiadali jednak w sobie coś ludzkiego, czem budzili współczucie czy żal. Neill był ohydny zwierzęciem, bestją, w której zamaryły wszelkie ludzkie uczucia. Jego psychika jest niezbadaną zagadką dla badaczy zbrodni i zbrodniarzy.

H. W. WALBROOK





Biegacz niemiecki zapala znicz olimpijski w berlińskim Lustgartenie

# Z Igrzysk Olimpijskich 1936



Po przyjeździe do Berlina, zawodnicy polscy  
przyjęci byli na ratuszu: Komisarz Olimpijski  
dr. Lippert wita drużynę polską



Na wielkim stadionie olimpijskim w Berlinie defilowały przed kanclerzem Hitlerem zawodnicy: defilada drużyny polskiej





Kancelarz Hitler — stały gość Igrzysk



Zdobywczyni pierwszego złotego medalu olimpijskiego Tilly Fleischer (pierwsza z prawej strony)



Trener amerykański gratuluje świetnego zwycięstwa 13-letniej Marjorie Gestring







Młodziutka Marjorie Gestring w swym pięknym skoku do wody



Podczas popisów gimnastycznych

Hala dziennikarska we Wsi Olimpijskiej





# NAOKOŁO PRZYŁĄDKA HORN

## Wesoła opowieść marynarza

Na imię mu było Jan, ale prócz tego miał przezwisko „Pies z nieba“, które nosił z większym bez wątpienia uzasadnieniem, niż swe ubrania, które były zbieraniną ze sklepów ze starzyzną i lombardów całego świata.

Siedział w domu u swego ojca; jadł chleb starego i zużywał jego odzienie — o ile wogóle dało się ono jeszcze zużywać. Nic nie robił, oprócz tego, że bawił się z swym najlepszym przyjacielem. Był to pies z obciętym ogonem, a wabił się: Żwawek.

— Ten pies ma więcej rozumu, niż dwóch ludzi — mawiał Jan. — On jest tak mądry, że wcale nie mówi; bo inaczej wygadałby się ze wszystkimi głupstwami, które w jego obecności popełniłem — a o nich lepiej milczeć.

— Cóż — rzekł na to stary, który jednocześnie martwił się synem i był z niego dumny — nie potrzebujesz się znowu tak bardzo krępować. Opowiedz no nam, jakieś wtedy objechał trzy razy Przyładek Horn!

Stary zerknął okiem ku synowi, a syn odpowiedział mu tem samem, poczem Jan zaczął opowiadać.

— Zaczęło się od tego — nie, najpierw muszę opowiedzieć, że wyruszyłem z Hamburga. Stary w domu chciał się mnie pozbyć, a ponieważ wszyscy inni pokpiwali ze mnie, tedy sobie poprzyśiągł, że nie zobaczą mnie wcześniej, aż nie objadę Przyładek Horn — trzy razy.

Wyekwipowaliśmy się w Hamburgu, szkuta była to zwyczajna barka, a stary na pokładzie — mam na myśli kapitana — był wielkim osłem.

Stawiłem się razem z całą załogą w kantorze, no i Żwawek był ze mną.

— Czy to pański pies? — zapytał mnie właściciel okrętu po niemiecku.

— Jo — odrzekłem po duńsku. — Do usług.

I nie mówiono już więcej o tej sprawie. Ale gdyśmy się dostali na pokład, kapitan zapytuje mnie:

— To twój pies?

— A jakże — mówię — nazywa się „Żwawek“.

— Zabieraj psa i wyrzuć go na ląd!

— O nie, jak Bożę kocham — tego nie zrobię!

Od tego się zaczęło. Było mało czasu, a ludzi zdatnych niewielu; holotę można było ostatecznie jeszcze zgodzić w kantorach najmu, ale nie porządną załogę, dość że Żwawek pozostał na okręcie — i ja też.

Nasz stary był, jak już rzekłem, osłem, pierwszy sternik fajtlapa, drugi sternik był moim rodakiem, a wikt był bez zarzutu. Więcej nic mi nie było trzeba.

Żwawek trzymał się stale przed fokmasztem. To było bardzo mądrze z jego strony. W ten sposób nie dostawał się bowiem nigdy na tył wielkiego masztu.

Gdyśmy się tylko wydostali na pełne morze, słyszę, że mamy kierunek na Jamajkę.

— To pewnie na południe od Przyładek Horn? — pytam sternika.

Drugi sternik miał zajęczą wargę i widać mu było zęby trzonowe. Zęby te błysnęły całkiem białe, gdy rzekł:

— Tym razem to nie, mój Janie!...

— No dobrze — rzekłem — w takim razie zsiadam na ląd ze szkuty. Muszę objechać Przyładek Horn!

— No, no, pewnie się rozmyślisz! — odparł.

Przybyliśmy do Kingstonu na Jamajce.

Stary dawał teraz na mnie wielkie baczenie. Ale ja robiłem, co do mnie należało, a Żwawek zachowywał się też należyście i stary nie miał najmniejszego powodu, by psa kopnąć. A jednak uczynił to i to w sposób bardzo paskudny. Złapałem wiaderko i wyróżnąłem go niem w prawe ramię. Wyciągnął się jak długi na pokładzie.

— Zapłacisz mi za to! — zawołał.

— Dobra jest, chodź no tu, możemy się zaraz teraz obliczyć! — rzekłem.

Ale on widocznie nie miał przy sobie drobnych, bo kazał tylko odczepić łódź „Jollé” i popłynął do lądu.

— Uważaj — szepnął do mnie drugi sternik — dostaniesz się za to do paki!

Łódź przybiła spowrotem do okrętu i trzech konstablów wdrapało się na pokład: mieli rozkaz zabrać mnie na ląd, do aresztu. Żwawek chciał iść ze mną, ale tych trzech drabów zaczęło kłać po angielsku i wymyślać, że nie dostali rozkazu aresztowania psów. Biedne psisko musiało więc zostać, chociaż wyło i skowyczało strasznie. Ale sternik obiecał mi, że się nim zaopiekuje i był też zdania, że się wszystko wkrótce wyjaśni, o ile będę się zbyt nie stawiał sztorcem.

— Jakie ma prawo kopać psa? — rzekłem. — Psisko ma, jak Boga kocham, o wiele lepsze serce od niego, i trzy razy tyle rozumu!

— Tylko nie nie gadaj! — rzekł sternik.

I tak powiosłowaliśmy na ląd.

Dostałem się prociusińko do paki. Była to wielka sala, a w niej ławy drewniane, kamienna posadzka i spluwaczki, i najokropniejsza zbieranina niechłujnych Hiszpanów, Anglików i damulek, jakiej nigdy jeszcze nie widziałem — a ja przecież byłem już w niejednym takim miejscu.

Wszyscy bardzo źle mówili po angielsku — i ja też to potrafiłem. Więc jeden z nich zapytał mnie, co ukradłem, a jedna z dam zapytała, ilu zamordowałem? Ale ja w odpowiedzi zrzucałem tylko parę sztuk tych drabów z ławki

i sam się na niej położyłem, a ponieważ nie dostaliśmy nie ani do picia, ani do jedzenia, o ile ktoś nie miał czegoś przy sobie, przeto bardzo wesoło nam tam nie było. Tak minęła noc.

Na drugi dzień stanąłem przed sędzią, a byli tam już też kapitan i konsul, i cała banda ludzi, którzy tak wyglądali, jakgdyby mnie chcieli zaraz powiesić.

Sędzia odczytał coś z wielkiej księgi protokółowej, z czego nie rozumiałem ani słowa, poczem zapytał mnie, czy chcę zapłacić trzy funty szterlingów?

— Djabło mi pilno to zrobić! — rzekłem.

Czy w takim razie chcę iść do więzienia?

— Nie, wolę wrócić na okręt i zobaczyć, co słychać z moim psem, którego tam zostawiłem i który wali się Żwawek.

Na to wszyscy poczęli się śmiać, a ja się rozgniewałem i powiedziałem sędziemu, że kapitan jest osioł, który kopnął mego psa, chociaż pies jest niewinnym zwierzęciem, i że ja wogóle nie chciałem weale jechać na wyspę Jamajkę, tylko przeciwnie, do Przylądka Horn, i że w pewnym miejscu przygotowane już jest potężne wyrznięcie w gębę, które tylko czeka na nich wszystkich, aż będę miał stosowną chwilę!

Na to stary zrobił się czerwony, że o mało co nie pękł, ale ten drugi zapewne niewiele z tego, co mówiłem, rozumiał. A potem wmieszał się w to konsul i skończyło się na tem, że ubito sprawę temi trzema funtami; musiałem jednak jeszcze dopłacić dwa szylingi, a to za to, że noe siedziałem w pace.

— Tak, nie nabierajcie mnie tylko! — pomyślałem sobie.

Udałem się razem ze starym do portu. Zaofiarowałem się nieść wielką księgę protokółową, którą trzymał pod pachą, on jednak tylko spojrzał na mnie zukosa i rzekł, że mógłbym ją jeszcze upuścić do morza, a to byłaby szkoda, bo to taka cenna książka, a jeżeli ja znów zacznę się stawiać, to on to tu do niej wpisze, i wezmą mnie wtedy na pokład i nałożą żelazne mankiety.



Poczekaliśmy, aż dojdziemy do miejsca, gdzie nas nikt nie usłyszy, a trzymając się zupełnie blisko jego boku, mruknąłem przez zęby:

— Ty mało niemiecka — tak, wybałuszaj na mnie oczy! — zbiję cię na kwaśne jabłko, jeśli jeszcze choć raz zrobisz krzywdę mojemu psu i wytrącisz z zarobku biednego marynarza trzy funty!

Warknął wściekle, nie puścił jednak pary z ust. Gdyśmy przybyli na pokład, schował się zaraz do swej kajuty.

Poszedłem na przód okrętu, potem na tył, i tu Żwawek rzucił się na mnie i byłby mnie chyba pożarł z radości. Potem zawołałem przez tubę na kucharza, który był zawsze dobry dla psa i dla mnie. Ten mi powiedział, abym chwilę poczekał, to dostaniemy obiad: bardzo dobrą, świeżo ugotowaną zupę z pulpecikami mięsnymi i pieczeń. Potem wydostałem swoją harmonijkę, usiadłem i jałem grać na niej wszystkie melodie, które znałem z domu, a Żwawek stał przy mnie i wyciągał za każdym razem szyję, gdy zmieniałem melodię — zupełnie jakby był prawdziwym człowiekiem i znał piosenki swego kraju.

Przechodzi do mnie pierwszy sternik i mówi, że stary zapytuje, dlaczego nie chcę pracować?

— Pracuję przecież, ile mi sił starczy — odparłem i zacząłem rżnąć: „Na wyspy twardym gruncie”.

Czy w takim razie nie zeszedłbym na dół do starego, do kajuty?

Poszedłem na dół, a tam już byli obadwaj sternicy i kapitan, przed którym leżała książka protokołowa. Kapitan podał mi pióro i zapytał, czy podpiszę, że się zgadzam na wytrącenie mi miesięcznego zarobku, ponieważ wzdram się pracować?

Spojrzałem na pióro i odpowiedziałem, że nie umiem dobrze pisać.

— Wystarczy, jak postawisz twój znak — rzekł do mnie kapitan ze słodkim uśmiechem.

— No dobrze — odparłem, wziąłem kałamarz i wylałem go na protokół.

— Już pokwitowane! — rzekłem.

— Za to dostaniesz się teraz do twierdzy! — odpowiedział kapitan.

I znów odholowano łódź i powiosłowano na ląd. Przez ten czas poszedłem do kucharza, kazałem sobie dać porządną michę zupy, poczem mięsa, żeby mieć coś solidnego w sobie. Żwawek też dostał wszystkie żyły i kości. Zaraz potem przybiła do statku łódź z trzema łapaczami.

Gdyśmy odbijali, Żwawek zeskoczył na dół do łodzi, a ja zacząłem kłąć i przysięgać, że wszystkich i wszystko zamienię na miazgę, jeżeli Żwawek nie pojedzie ze mną.

Potem zabrali mnie do twierdzy, gdzie rządem ustawiła się sama granda złodziejska. Nałożyli nam żelazne mankiety i poskuwali do siebie parami. Do moich kajdan na rękach przyczepili długiego, chudego mulata.

— Ładny z ciebie strach na wróble! — rzekłem do niego i szarpnąłem łańcuchem, tak że mulat zatoczył się. — Dokąd mamy iść?

— Do Spanishtown! — odpowiedział, zerkając na psa, który trzymał się ciągle mego boku, chociaż go żołnierze ustawicznie odpędzali.

— Zachowaj oczy dla siebie — rzekłem do mulata. — Chudyś, bracie, a wyglądasz na takiego, co by chciał pożreć mego psa — tylko że nie z miłości...

Wydostaliśmy się na jakąś stację kolejową, gdzie nas wpędzono do kilku otwartych wagonów, niby transport bydła. I wtedy zgubiłem Żwawka!

Dwadzieścia pięć mil przejechałem darmo w głąb kraju z tymi wszystkimi rzezimieszkami, ale nie widziałem ich prawie, tak byłem zmartwiony, że zgubiłem mego najlepszego przyjaciela. Wyobrażałem sobie, jak biedne psisko będzie mnie szukać i wreszcie zdechnie z głodu; no, i dałem tej potworze mulackiej porządnego kuksańca w bok, bo przecież musiałem wyrzucić na kimś swój żal.

Pociąg jechał strasznie powoli — pewnie tylko dlatego, żeby nas draż-

nić — panował wielki upał, a gdyśmy się nareszcie zatrzymali — kogo widzę, sadzącego wielkimi susami za mną?

Tak, był to naprawdę Żwawek, z niewieszonym na całą długość językiem. Rzuciłem się na płask na ziemię, pociągając za sobą małą mulacką, i ucałowałem zakurzone zwierzę — mam na myśli psa — w sam pysk. Od tej chwili byliśmy przyjaciółmi na śmierć i życie — po wieczne czasy.

Potem nas rozkuto i wpędzono na wielki dziedziniec, a gdy żołnierze chcieli wypędzić Żwawka, ten skoczył im wprost do gardła. To rozśmieszyło oficera i psu pozwolono pozostać.

Wsadzili nas potem w uniformy; były to bardzo ładne ubrania: spodnie i bluzy ze zgrzebnego płótna i czerwona mycka; z tyłu na plecach i wzdłuż nogawek widniał wyraźny napis drukiem:

*„Santa Maria — Districts-Prison“  
Spanishtown.*

Żwawek nie mógł mnie wcale poznać w tem maskaradowem przebraniu. Przemówiłem jednak do mego towarzysza po duńsku i to pomogło.

Niedobry to był czas te dwa miesiące, i gdyby mi nie chodziło o psa, kto wie, czy nie byłbym ukatrupił któregoś ze strażników, za co skazałoby mnie na śmierć. Ale gdy się ma kogoś na świecie, kim się trzeba opiekować, to człowiek musi się trzymać w ryzach. A z początku chcieli, bym im tłukł kamienie, takie porządnie twarde kamienie; oświadczyłem im, że ręce marynarza są zbyt delikatne do takiej roboty, ale oni mimo to wpychali mi młotek do ręki. Więc ja jak nie zaczęć walić w kupę kamieni, aż odprysnął kawałek krzemienia i jednemu z tych huncwotów wybił w gębę dwa przednie zęby.

— Przepraszam — mówię — ale sami widzicie, palce moje są za sztywne do tej roboty!

I tak było ze wszystkim, co mi kazali robić. Miałem prać dla tych nieponików bieliznę, ale rozdarłem im tylko ich zgrzebne płótno; potem miałem

uprzątać kazamaty, w których spaliśmy. Chlusnąłem tylko wodą na kamienną podłogę i ściany, poczem wziąłem cały stos płótna zgrzebnego, wsadziłem w nie szczotkę i ciągnąłem to wszystko po ziemi. Wtedy zostawili mnie wreszcie razem z moim psem w spokoju. Ale niewiele brakowało, abyśmy zdechli z głodu, on i ja; psu nie dawali wogóle nic, a ja dostawałem tylko miskę kleiku ryżowego rano, a na wieczrę ochłap mięsa wielkości korka od butelki, a gdy to zostało podzielone między nas dwóch, to dla każdego z nas było to czyste nic.

Wreszcie uwolniono nas i wróciliśmy do Kingstonu; tam czekało na mnie u konsula siedem funtów, ale szkuta już dawno popłynęła dalej.

Żwawek i ja postaraliśmy się przede wszystkim o dobre żarcie, a potem poszedłem zapytać konsula, czy niema dla mnie wolnego miejsca.

— Gdziebyś chciał jechać?

— Hm — odpowiedziałem i spojrzałem na Żwawka — właściwie mówiąc, to najbardziej chcielibyśmy pojechać naokoło Przylądka Horn!...

— Teraz się tam nie dostaniesz, ale mam dla ciebie służbę, w powrocie do Hamburga; chcesz ją mieć?

Spojrzałem na psa, a ten spojrzał na mnie i zaszczekał — zupełnie jakby chciał powiedzieć:

— Co tam, zgódź się, zawsze jeszcze możemy popłynąć do Przylądka Horn! Horn!

Zgodziłem się więc i tak dostaliśmy się do Hamburga.

Tutaj wylądowaliśmy, Żwawek i ja. I pierwsza rzecz, którą zrobiłem, to było wydanie sumki pieniędzy na nowe ubranie ze ślicznego granatowego sukna, na parę podkutych kamaszy i okrągły kapelusz. Kupiłem też obrożę z zamkiem mosiężnym dla Żwawka, ale ponieważ ten nie wiele sobie snadź z niej robił, podarowałem ją pierwszego wieczora pewnej dziewczynce na Hamburgskiej Górze za miastem.

W pierwszych dniach bardzo wesoło schodził nam tam czas. Z początku Żwawek towarzyszył mi za miasto, opuszczając razem ze mną stację; ale po-



tem widocznie mój towarzysz zauważył, że za dużo sobie pozwalalem i dlatego pozostawał w domu, patrzył mi w oczy, potrząsając uszami, kręcił się sam naokoło siebie, jak kłębek nici, a wreszcie przestał się nawet na mnie patrzeć.

I razu pewnego zastałem go leżącego i drżącego na całym ciele, jakgdyby go trzęsła zimnica. Miałem się spotkać z ową dziewczyną na tańcach. Ale spojrzalem na Żwawka i wtedy przypomniałem sobie Spanishtown. Rzuciłem swój elegancki okrągły kapelusz na ziemię, wziąłem Żwawka na kolana, nakrywszy go swoją starą, znoszoną marynarkę, a gdy mino to nie przestał się trząść, otuliłem go jeszcze w swe stare spodnie. I tak przesiedziałem przy nim całą noc, pojąc go wodą z filizanki. Lizał mi rękę, a mnie — dalibóg — lzy stanęły w oczach i nie myślałem już ani o dziewczynie, ani o tańcach, tylko o tem, żeby mój towarzysz przyszedł znów do siebie.

Rano było z nim całkiem źle; pieniędzy nie miałem, bom je przepuścił, ale dostałem adres takiego doktora od psów, więc wziąłem swoje piękne nowe spodnie i dalej z nimi do handlarza! Dostałem pieniądze i sprowadziłem psiego cyrulika. Żwawek przyjął lekarstwo, a wieczorem przyszedła do mnie moja dziewczyna, do mieszkania.

— Nie mam pieniędzy — rzekłem do niej — i Żwawek jest chory; musisz iść sama.

— Co tam pieniądze — powiedziała. — Zostaw psa. Dobry z ciebie chłopak; chodź, pójdziemy!

I poszedłem z nią, i ona mi fundowała, a gdy wróciłem do domu, z psem było djabelnie źle.

Wziąłem wtedy nową granatową kamizelkę i kapelusz i podkute kamasze i dalej z nimi do handlarza i do psiego cyrulika. Gdy sprowadziłem go już do siebie i zostałem z nim sam na sam, wziąłem go za hals, nie żałując chwytu i powiedziałem mu, że choć jest wielki osioł, to jednak psa tego tu musi mi wykurować — inaczej nigdy już w życiu żadnych psów kurować nie będzie!

Piszczał, prosząc o życie i bredząc coś długo trzy po trzy. Wreszcie powiedział, że pies ma prawdopodobnie febrę podzwrotnikową i że najlepiej będzie, jeżeli pojedę z nim zaraz tam, skąd pies pochodzi.

To nie było znów tak bardzo pozbawione sensu. Wziąłem więc moją elegancką granatową marynarkę i dalej z nią do handlarza. Dostałem za nią gotówką dziesięć marek w złocie i do tego stary popielaty surdut z długimi połami, które prawie że wlokły się za mną. Wieczorem opuściłem stancję ze Żwawkiem pod pachą i udałem się na dworzec Lubecki. Szyję dam za to, że nikt nie wziął mnie za marynarza, który miał za sobą dalekie podróże morskie.

W Lubece przeszwarcowałem się na pokładzie statku, idącego do domu — i dziwne! — im bardziej zbliżaliśmy się do wyspy Falster, tem zdrowszym czuł się mój towarzysz podróży. Pobłkitniały mu formalnie oczy, lizał mnie po rękach, patrzeć mi w oczy, a ja musiałem je spuścić i pomyślałem sobie, że my mężczyźni to jednak strasznie miękkie mamy serca i że łatwiej jest sprzedać swe najlepsze odzienie i na łeb na szyję rzucić wszystko, niż zostać gdzie się jest i spokojnie przyjąć swój cios od losu.

A kiedym już był u siebie na lądzie i siedłem wzdłuż wybrzeża ze Żwawkiem, przyczepionym do moich pięt, zawołali na mnie ludzie, którzy tam stali, gapiąc się:

— Hallo, cóż to za pastor mormoński tam idzie?

— To ja! — odpowiedziałem i uniosłem poly.

— Nie, co ty mówisz! — zawołali. — A toś sobie fundnął ładny surdut! Czy i on był z tobą razem naokoło Przyładka Horn?

— A jakże! Wszystkie trzy razy — rzekłem. — Spytajcie się tylko Żwawka, on wam nic nie nabłaguje.

No, i wróciłem do mego starego i zamieniłem się z nim na ubranie.



# Zimna krew

Stary kawaler, sędzia Francis Murphy, jak zwykle, tak i tego wieczora, kładł po kolacji pasjanse. Służący jego, Tomasz, zabierając naczynia ze stołu, zapytał sędziego, czy niema może jeszcze jakiego życzenia.

— Nie — brzmiała odpowiedź — możesz iść spać.

Ale dziwnie niespokojny Tomasz zapytał:

— Czy nie byłoby lepiej, gdybym jeszcze czuwał?

— Skąd ten pomysł?

— Myślałem tylko... Czy pan sędzia czytał dziś w gazecie, że Fred Allen uciekł z zakładu dla obłąkanych?

Sędzia przytaknął głową i zamyślił się. Przed siedmiu laty skazał Allena na śmierć za zamordowanie tancerki Mary Douglas. Gubernator jednak za-





rządził ponowne zbadanie psychiatryczne. Na podstawie orzeczenia zaś skasowano wyrok śmierci i oddano Allena do zakładu dla umysłowo chorych.

— Powinieneś zażyć bromu i iść spać — rzekł sędzia do służącego, nalewając sobie kieliszek Brandy.

— Dobranoc panu sędziemu!

„Gdybym“, pomyślał sędzia po odejściu służącego. „w ciągu mej długoletniej służby brał na serjo pogroźki zbrodniarzy, byłbym napewno weześniej niż ten Allen w zakładzie dla obłąkanych, albo musiałbym uciec na biegun północny“.

Nagle usłyszał szelest i firanka poruszyła się. Ktoś ostrożnie wlaźł przez otwarte okno parterowego mieszkania.

— Wejdz pan, panie Allen! — zawołał sędzia.

Błady mężczyzna w szarym haweloku ześlizgnął się z parapetu i skierował browning na sędziego.

— Jeśli pan się odezwie, będziesz trupem!

Sędzia z największym spokojem patrzył na gościa.

— Wizyta moja nie jest dla pana, zdaje się, niespodzianką?

— Przeciwnie — odparł sędzia chłodno — oczekiwałem pana.

— Oczekiwał mnie pan? Dlaczegoż nie powiadomił pan policji?

— Ponieważ chciałem się z panem rozmówić. Proszę usiąść i napić się ze mną kieliszek Brandy.

Allen patrzył ze zdumieniem, a zarazem z nieufnością na sędziego. Ten nalał sobie tymczasem z karafki pół kieliszka i wypił duszkiem.

— Jakżeż można być tak nieufny? —  
rzekł w tonie wyrzutu do gościa.

Allen również wychylił kieliszek.

— Zanim kula moja położy pana trupem, chciałbym pana o coś zapytać. Pan jako człowiek rozumny musiał chyba wiedzieć, że jestem niewinny, a mimo to skazał mnie pan na śmierć. Prawda, że pan wiedział?

— Naturalnie — odezwał się sędzia lakonicznie.

— I mówisz to z takim spokojem — łotrze? — zawołał Allen, zrywając się z krzesła.

— Ależ siadaj pan i uspokój się.

— Czy przypomina pan sobie, co przytoczyłem na swoje usprawiedliwienie?

— Jaknajdokładniej. Powiedział pan, że dziewczyna była już nieżywa, kiedy pan do niej przyszedł.

— Była też rzeczywiście nieżywa. Ja jestem niewinny.

— Co do tego nie może istnieć żadna wątpliwość — rzekł sędzia, jak o cześć samo przez się zrozumiałem. — Wiedziałem o tem najdokładniej.

— Skąd?





— Ponieważ — odparł sędzia w tonie zdecydowanym — ja sam — ją zamordowałem!

Drżąc na całym ciele, gość wpatrywał się w niego, jak w widmo.

— Jakto? — wykrztusił — pan — pan sam zamordował biedną Mary?

— Tak — odrzekł sędzia z największym spokojem. A zebrawszy karty pajansowe, ciągnął dalej:

— Rozpocząłem wówczas właśnie swoją karierę. A wiadomo panu, że sędzia musi być bez skazy. Otóż Mary, która nie cieszyła się przecież najlepszą opinią, stała mi na drodze. Gdybym się z nią ożenił, musiałbym zrezygnować z urzędu. Sędzia ożeniony z damą z półświatka, jest niemożliwy. Mary wszakże domagała się małżeństwa i groziła skandalem. Usunąłem ją przeto z drogi.

— Sam ją pan zamordował, a mnie chciał pan posłać na krzesło elektryczne? Dał mi pan tak długo się męczyć — bestjo podła?

— Tylko spokoju, mój przyjacielu! Nalawczy zaś sobie i gościowi znowu po kieliszku Brandy, rzekł:

— Poróż wygrzebywać przeszłość? Wypijmy lepiej za spokój duszy wspólnej naszej przyjaciółki, Mary.

Po wypiciu przez nich kieliszków, sędzia patrząc z urągliwym uśmiechem na Allena, odczuwał się:

— Bądźcoładz lepiej, niż wracać do zakładu dla obłąkanych!

— Jakto? Dlaczego? Co to ma znaczyć? — krzyczał Allen, drżąc ze strachu.

— Och, nie szczególnego — odparł chłodno sędzia. — Tylko trochę kwasu pruskiego w Brandy. Nie psuje smaku i działa pewnie. Pięć minut, co prawda, to jeszcze potrwa.

Allen skierował broń na sędziego.

— Jeśli pan koniecznie chce, może wypalić. Ale to niema sensu. Przecież i ja będę za pięć minut trupem!



— Dlaczegoś pan to uczynił? — zawołał gość nocny.

— Miałem już wszystkiego dość — rzekł sędzia już głosem zamierającym. — Całe moje życie — jedno kłamstwo. — Wiedziałem, że pan kiedyś przyjdzie i mnie zabije. Ale pan w chwili decydującej stracił nerwy. Musiałem więc sam życiu swemu położyć kres.

Po tych słowach sędzia jęknął i — spadł z krzesła.

Ogarnięty niewymownym strachem, Allen złapał się za gardło. Poczuł, że jeszcze oddycha. Porwała go nagle żądza świeżego powietrza. Wyskoczył oknem na ulicę i zaczął biec...

W kilka minut później słyszano z ulicy gwizdki policyjne i nadbieganie ludzi. Po chwili wpadł zdyszany służący Tomasz do pokoju sędziego. Ten — siedział spokojnie na fotelu, wycierając sobie pot z czoła i poprawiając włosy.

— Mają już tę bestję! — krzyknął Tomasz.

— Biedaczysko! — odparł spokojnie sędzia. — Dziwna rzecz — dodał w zamyśleniu — jakie wrażenie wywiera na umysłowo chorych bezustanne gadanie. Nie wolno im się tylko — sprzeciwiać!

MAC BUTLEY



# Zgubiona powieść

Powiedział, że to było jak sen. Pisarz, taki sam jak wszyscy inni pisarze. Pracuje wiele miesięcy, czasami rok nad książką i niema ani jednego napisanego wiersza. Chcę powiedzieć, że mózg jego pracuje. To, co ma stać się książką powstaje i ginie.

W jego wyobraźni rodzili się i ginęli ludzie.

Ale zapomniałem o paru szczegółach. Mówię o pewnym powieściopisarzu angielskim, który cieszy się sporą sławą. Mówię o jednym wypadku z jego życia. Opowiedział mi o tem.

Któregoś dnia spacerowaliśmy sobie. Spędziliśmy razem kilka godzin. Pamiętam, żeśmy się znajdowali na brzegu Tamizy, kiedy opowiedział mi o swej zaginionej powieści.

Przyszedł do mnie, do hotelu, przed wieczorem. Zaczął rozmowę od moich nowel. „Panu się czasami udaje powiedzieć coś dobrego” — zauważył.

Zgodziliśmy się, że żadnemu człowiekowi nie udało się nigdy powiedzieć najbardziej istotnej rzeczy. Utrafić w sedno.

A jeżeliby to się nawet komuś udało,

gdyby nie chybił, wyczulibyśmy to instynktownie.

Czy byłby sens próbować jeszcze własnych sił?

A wie pan co panu powiem? Niektórzy ze starszków byli już bardzo blisko celu!

— Keats? Tak Szekspir i Defoe.

Pół godziny straciliśmy na wyliczanie nazwisk.

Potem poszliśmy razem na obiad i na spacer. On był mały, czarnowłosa, nerwowo. Kosmyki włosów wylażyły mu spod kapelusza.

Zacząłem mówić o jego pierwszej książce.

Oto jego zwięzła biografia. Pochodził z ubogiej rodziny chłopskiej, mieszkającej w małej wioszczynie angielskiej. Był taki jak wszyscy pisarze. Na początku chciał pisać.

Nie miał żadnego wykształcenia. Ożenił się, mając lat dwadzieścia.

Ona, to się samo przez się rozumie, była wielce szanowną osobą. Bardzo miła. Jeżeli się nie mylę, była córką duchownego kościoła prezbiterjańskiego.

Z taką właśnie nie powinien był się



żeńić. Ale kto może wiedzieć z kim powinien lub nie powinien się żenić; lub kogo ma kochać? Według szczebla społecznego stała wyżej od niego. Skończyła kolegium żeńskie. Była wykształcona.

Nie wątpię wcale, że uważała go za nieuka.

— Uważała, że jestem bardzo miły. Do diabła! — powiedział. — Nie jestem miły! Nienawidzę wszystkiego, co miłe!

Taka intymna rozmowa potoczyła się między nami, kiedyśmy się włożyli przez noc londyńską, wstępując co pewien czas do baru, by zwilżyć gardła.

Pamiętam. Zażądaliśmy po butelce, w obawie, że winiarnie zamkną wcześniej, niż my się dogadamy do końca.

Co opowiedziałem mu o sobie i swoich przygodach — nie pamiętam.

Rzecz była w tem, że on chciał uczynić ze swej żony jakąś pogankę, a ona nie miała warunków potemu.

Mieli dwoje dzieci.

Potem zaczął nagle żywiołowo pisać, chcę powiedzieć: pisać na serjo.

Oczywiście, spotykaliśmy się z takim typem człowieka. Jeżeli pisze, to pisze na serjo. Pracował w jakimś angielskim miasteczku, zdaje się, że był urzędnikiem biurowym.

Pisał i w konsekwencji zaniedbał pracę w biurze, żonę i dzieci.

Miał zwyczaj chodzenia nocą w pole. Żona gniewała się. Oczywiście — była nieszczęśliwa — inaczej nie mogło być. Ani jedna kobieta nie może pogodzić się z tem, że mężczyzna, który był jej kochankiem, porzuca ją, kiedy zabierze się do pracy.

Mówię, oczywiście, o artyście. Artyści mogą być pierwszorzędnymi kochankami. Kto wie, czy nie oni właśnie są jedynymi kochankami na świecie.

Ale nie znają litości, kiedy odpychają od siebie miłość.

Możecie sobie wyobrazić to ognisko domowe. Powiedział mi, że mieli małą sypialnię na górze, w domu, gdzie podówczas mieszkali. Przebywał wtedy jeszcze w tem miasteczku angielskiem.

Po powrocie z pracy szedł do domu i wchodził na górę. Szedł do sypialni i zamykał się. Zdarzało się często, że nie

jadł obiadu, a czasami również nie rozmawiał z żoną.

Pisał, pisał i pisał i... wyrzucał napisane.

Potem stracił posadę. „Do diabła!“ powiedział, przypomniawszy sobie o tem.

Oczywiście było mu wszystko jedno. Co to jest posada? Co to jest żona, czy dziecko? Przecież muszą być na tym świecie jacyś ludzie bez litości.

Doszło wkrótce do tego, że nie było co jeść.

Siedział na górze, w zamkniętym pokojku i pisał. Dom był mały, dzieci płakały. „Djabłęta“ — powiedział. Oczywiście nie myślał tak o nich. Zrozumiałem, co chciał powiedzieć. Żona przychodziła i siadała na schodach, przed drzwiami, za którymi pracował. Płakała głośno i płakały dzieci na jej rękach.

— Cierpliwe stworzenie, co? — zauważył powieściopisarz angielski, opowiadając mi o tem. — I dobre stworzenie — powiedział. — Do diabła! — dodał wreszcie.

Otóż to właśnie, że pisać zaczął o niej. O niej była jego powieść, jego pierwsza powieść. Być może, okaże się czasem, że to jest jego najlepsza książka.

Jakie subtelne zrozumienie jej trudnej sytuacji i jej ograniczoności — i jaki przykry i okrutny stosunek do niej.





No, ale jeżeli jest w nas dusza, która jest bądźco bądź coś warta?

Wkońcu było tak, że nie mogli przebywać ze sobą przez chwilę bez kłótni.

A którejś nocy uderzył ją. Zapomniał zamknąć drzwi od pokoju, w którym pracował. Wdarła się do niego.

Właśnie w tej samej chwili, kiedy coś go natchnęło, jakaś prawdziwa koncepcja jej istoty. Każdy pisarz zrozumie trudność jego położenia. Oszalały podbiegł do niej, uderzył, przewrócił ją.

A wtedy... a wtedy poszła sobie od niego. Porzuciła go. Dlaczego miała nie odejść? Jednak zakończył powieść. To była dobra książka.

Ale powróćmy do zaginionej powieści. Powiedział, że po odejściu żony pojechał do Londynu i zamieszkał sam. Myślał, że napisze drugą powieść.

Pierwsza przyniosła mu sukces materialny i sławę.

Ale napisać drugą powieść było tak samo trudno, jak pierwszą. Być może, że był w dużym stopniu wyjałowiony.

I oczywiście, wstydził się. Wstydził się swego zachowania wobec żony. Starał się pisać drugą powieść, nie myśląc o żonie. Powiedział mi, że wszystkie słowa napisane w ciągu roku czy dwóch lat były jak z drewna. Nie było w nich życia. Szeleściły papierem.

Tak mijały długie miesiące. Odseparował się od ludzi. No, a jak było z dziećmi? Posyłał żonie pieniądze i pojechał raz odwiedzić ją.

Powiedział, że mieszkała ze swym ojcem. Zjawił się w domu jej ojca i zawołał ją. Poszli na spacer w pole.

— Nie mogliśmy rozmawiać — powiedział. — Rozpłakała się i nazwała mnie warjatem. Popatrzyłem na nią tak jak za pierwszym razem, kiedy ją uderzyłem. Odwróciła się i uciekła ode mnie do domu, do ojca. Odjechałem.

Po napisaniu jednej dobrej powieści, oczywiście, chciał napisać jeszcze kilka. Powiedział, że rodziły mu się w głowie najrozmaitsze tematy i sytuacje. Zdarzało się, że godzinami siedział przy biurku i pisał, a potem włóczył się po ulicach, tak samo, jak razem chodziliśmy tej nocy.

Nic mu nie wychodziło.

Stworzył sobie własną teorię o sobie samym. Powiedział, że tę drugą powieść nosił w sobie jak nieurodzone dziecko. Sumienie go męczyło, kiedy myślał o żonie i dzieciach. Powiedział, że kocha je, ale nie chce ich widzieć.

Zdawało mu się czasami, że nienawidzi.

Któregoś wieczora, kiedy już od dłuższego czasu toczył tę walkę i nie spotykał się z ludźmi, napisał swą drugą powieść. Oto jak rzecz wyglądała.

Całe rano przesiedział w swym pokoju. Był to mały pokój. Wynajmował go w jednej z uboższych dzielnic Londynu. Wstał wcześniej i nie zjadłszy śniadania zaczął pisać. I wszystko, co napisał tego ranka, nic nie było warte.

O trzeciej poszedł wedle swego zwyczaju na spacer. Wziął ze sobą sporo papieru do pisania.

— Zdawało mi się, że w każdej chwili mogę zacząć pracę — powiedział.

Spacerował w Hyde-parku. Według jego opowieści, dzień był piękny, słoneczny, sporo było spacerujących. Usiadł na ławce.

Od poprzedniego dnia nic nie jadł. Siedząc na ławce postanowił spróbować pewnego triku. Dowiedziałem się później, że grupa młodych poetów w Paryżu zajmowała się taką samą sztuką i robiła to na serio.

Anglik spróbował tego, co się nazywa „pisanie automatyczne“.





Na trybunach podczas Olimpiady berlińskiej









Katarzyna Hepburn w filmie R. K. O. Sylwia Scarlett



# Zakochany bokser

„Przedstawiam pani „gwiazdora“ naszych bokserów, pani Heland“ — rzekł menager, Jeff Buckley.

„Cieszę się niezmiernie, mr. Walker! Byłam wczoraj walką pańską zachwycona!“

Tak rozpoczęła się ich miłość.

W parę tygodni później musieli się rozstać.

„Muszę wrócić do Nowego Jorku, mój drogi Tomie. A to conajmniej na pół roku. Trudno — obowiązki małżeńskie. Byliśmy przez ten krótki czas szczęśliwi. To powinno nam na razie wystarczyć. Ty zaś musisz zdobywać co raz nowe laury. Kobieta stałaby ci teraz w drodze do triumfów“.

„A potem — Heleno?“

„Pół roku, to długi czas, Tomie. Ale nie będziemy do siebie pisywali. Uczuć nie należy podważać piórem. Po pół roku zaś będę znów w Londynie. Przyrzekam ci to święcie!“

„Tak, pół roku, to długi czas, Heleno. Ale będę walczył. Dla ciebie, Heleno. I o — ciebie!“

•

„Tom Walker pokonał Bradshava!“

„Tom Walker położył knock-outem Mickleya Burnsa!“

„Tom Walker w sensacyjnym „fight“ odniósł zwycięstwo nad sławnym Hooliganem!“

„Tom na drodze do mistrzostwa światowego!“

Czytając to w gazetach, Helena czuła się niezmiernie szczęśliwa.

Bezprzykładna karjera młodego boksera wprawiła całą Anglię w istny szal. Z niecierpliwością oczekiwano

w Londynie jego walki z mistrzem światowym, Willem Braddonem. Ten bowiem jest bez porównania silniejszy od Toma, odznaczającego się tylko swoją młodością.

Jego menager Buckley zaczyna się niepokoić.

„Co się z tobą dzieje Tomie? Trener powiada mi, że nie pracujesz tak jak zawsze. Czy właśnie teraz przed celem swej kariery — stchórzyłeś? Braddon jest oczywiście straszliwym przeciwnikiem. Ale i ty nie jesteś byle kto. Czy zląkłeś się nagle?“

„Zgadłeś“.

„Jakto? Naprawdę boisz się Braddona?“

„Nie Braddona, ale boję się, że — Helena nie przyjedzie...“

Menager Buckley struchlał.

„Może nie dowiedziała się na czas o twej walce z Braddonem“ — powieda po dłuższym namyśle.

„Mogły zresztą — dodaje po chwili — zajść niespodziewane przeszkody“.

Ona musi przyjechać! Przyrzekła mi to święcie“...

•

Przepełnione trybuny gorączkowo śledzą walkę Toma Walkera z mistrzem świata Braddonem.

Menagerowi Tom coraz bardziej się nie podoba. Walczy z zatrważającą obojętnością. Braddon już ją wyzyskuje, a publiczność zaczyna się denerwować.

Pierwsza przerwa. Tom stoi w kącie, błady z zaciśniętymi zębami. Menager podchodzi do niego.

„Jeszcze jej niema?”

„Naturalnie, że nie”.

„Ona napewno przyjedzie. Musi. Wiem o tem dobrze. A czy zarezerwować dla niej miejsce?”

„Tak, pomimo, że to idjotyzm. Zdobyłem go z trudem na górnej galerji. Cała Anglja przecież wykupiła miejsce. Jest to teraz jedynie próżne miejsce na wszystkich trybunach”.

Gong. Walka znowu się zaczyna. Braddon forsuje tempo. Stary wyga zorjentował się już, że z tym Tomem coś nie jest w porządku. Naciera więc na niego z właściwem sobie mistrzostwem. Tom wszakże tylko się — broni.

Publiczność własnym nie wierzy oczom, a w pewnej chwili zaczyna — gwizdać!

Menager zatyka sobie uszy. Rozpacz!

Tom, ulubieniec Anglji, — wygwizdany!

Po przerwie staje się coś nieoczekiwanego. Tom nagle jakby odmieniony. W pewnej chwili bowiem rzucił okiem na galerję. Na jedynym dotychczas próżnem miejscu siedzi — kobieta w czerwonej sukni. To musi być Helena! Teraz wszystko już pójdzie dobrze. Tom czuje w sobie nadludzką siłę. Helena wszakże śledzi jego walkę! Dla niej musi zwyciężyć!

Braddon nie poznaje przeciwnika. Istne czary! Ale w co to on co pewien czas jest tak wpatrzony? Walka z nim staje się coraz trudniejsza. A publiczność już się zorjentowała i z zapartym oddechem śledzi Toma.

Tom wprawia ją w coraz większy zachwyt. Nic dziwnego, bo tam na galerji — mała biała rękawiczka ciągle daje znaki. Z niej to jakieś czarodziejskie płyną w niego siły. Jak tygrys rzuca się raz po razie na Braddona, który traci stopniowo pewność siebie wobec nieoczekiwanej zmiany. W pewnym momencie Tom zadaje mu pod podbródek straszny cios i powala olbrzymia na ziemię...

Publiczność szaleje, rzuca kapelusze w górę, wyje jak opętana.

Tom stoi uśmiechnięty i wyciera sobie cienką smugę krwi z czoła.

Nagle — widzi przed sobą — Helenę!

„Nie mogłam przybyć wcześniej, mój jedyny. Mieliśmy straszną burzę — 24 godzin opóźnienia przed dotarciem do Southamptonu. Ale teraz jestem niewymownie szczęśliwa, mój Tomie najdroższy!”

W tej chwili Tom spostrzega ze zdumieniem, że Helena nosi suknię — zieloną...

Menager Buckley uśmiecha się, jakby zażenowany.

Mimowoli Tom rzuca wzrok na galerję. Czerwona suknia wciąż jeszcze jest tam, a — biała rękawiczka właśnie znowu daje znaki...

„Moja żona — mówi menager — ma szczególną predylekcyę do — czerwonego koloru. Powiada, że ten kolor nadaje kobiecie nadzwyczajną smukłość”...

H. LUDWIG

CZYTAJCIE

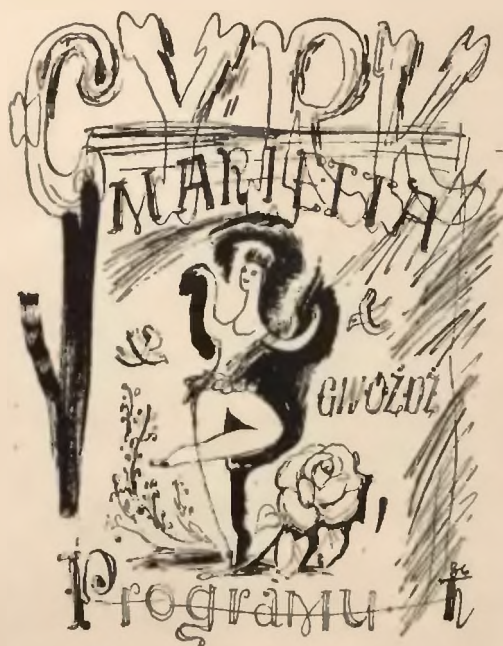
PRENUMERUJCIE

NAJSTARSZE W POLSCE

PISMO ILLUSTROWANE

**TYGODNIK ILLUSTROWANY**





# SALTO MORTALE

Przez male okienko kasy cyrkowej można ujrzeć tylko ręce kupujących bilety osób.

Oto leży potężna dłoń męska na blacie. Na palcu środkowym czworogranny sygnet. Kasjer poznaje pierścień i wychyla się na chwilę. Tak, to on. Teraz słyszy jego głos:

— Proszę o bilet w pierwszym rzędzie!

Nie ulega wątpliwości: to Fernandez — — —

— Jakże dziś z kasą? — pyta stajenny, uchyliwszy drzwi kasy.

— Fernandez jest tu — odpowiada kasjer. — Będzie na przedstawieniu.

— Bob Fernandez? — To przecież — a czy Marietta wie o tem?

— Nie mam pojęcia. — Niestety, szanowna pani, druga galerja już wyprzedana.

Wechodzi do kasy dyrektor cyrku.

— Panie dyrektorze, wyobraź pan sobie: Fernandez jest tu!

— Co, naprawdę? Czy chce może pójść na przedstawienie? Oburzające poprostu! Czy Marietta jest już w swojej garderobie?

Obaj wychodzą i pukają do drzwi garderoby, poczem je otwierają. Ciemno, Marietty jeszcze nie ma.

— Panie dyrektorze, prawda że ona pod żadnym warunkiem nie powinna wiedzieć, że on jest tu?

— Naturalnie! Do salto mortale potrzebne są spokojne nerwy!

— Panie dyrektorze! Musi pan przedewszystkiem zażądać od Fernandez, by podczas numeru Marietty wyszedł z cyrku.

Widownia jest już zapelniona. Bob Fernandez siedzi w pierwszym rzędzie.

Dyrektor podchodzi do niego.

— O, sam pan dyrektor! Cieszę się niezmiernie.

— Jak pan śmiał?

— O ile mi wiadomo, dyrektorze, zapłaciłem grzywnę konwencjonalną za zerwanie kontraktu. Niema pan zatem prawa — —

— Mr. Fernandez, mam panu tylko do powiedzenia, że jest rzeczą samo przez się zrozumiałą, iż opuści pan widownię podczas numeru Marietty!

— Ani mi się śni! Przyszedłem przecież jedynie dla Marietty!

— Widokiem swoim zagraża pan jej życiu.

— Och, każdy artysta cyrkowy igra co wieczór ze swoim życiem!

— Mr. Fernandez, nie mogę zarządzić, by policja pana stąd wyprowadziła, ani też zwolnić Marietty z występu. Jej numer bowiem jest najlepszy z całego programu — — —

W tej chwili orkiestra zaczyna grać. Przedstawienie się rozpoczęło. Fernandez uśmiecha się.

Dyrektor, artyści, robotnicy, wszyscy naradzają się, czy trzeba zawiadomić Mariettę czy też milczeć. Zawiadomienie oznacza zdenerwować ją i narazić na niebezpieczeństwo. Milczenie — to zdanie się na szczęśliwy przypadek.

Tymczasem odbywa się jeden numer po drugim i nie widać wyjścia. I oto

już sygnał dla występu Marietty i jej partnera, Jerzego!

Wszyscy koledzy i koleżanki stoją rzędem za kotarą i zleknionym wzrokiem obserwują Mariettę i jej partnera. Ci zaś wcale tego nie widzą, bo uwaga ich skoncentrowana jest na występie.

Stajenny odchyła kotarę. Oklaski, tusz orkiestry, uśmiechnięte ukłony pary artystycznej. Koledzy i koleżanki zbliżają się do lekko odchylonej kotary i wlepiają wzrok w manież.

U góry, pod kopułą cyrku chwieją się lekko trapezy. Marietta chwytając drabinkę linową i zaczyna się po niej wspinać.

W połowie drogi patrzy nadół na Jerzego. W co też on się tak wpatruje? Podczas dalszego wspinania się Marietta śledzi jego wzrok i nagle — spostrzega siedzącego w pierwszym rzędzie Boba Fernandez.

— Bob!

Teraz Marietta stoi już na mocnem rusztowaniu stalowem, a Jerzy wspina się po linowej drabinie. Uśmiecha się mechanicznie do niego. Jest to zwyczajny znak rozpoczęcia „numeru“. Jerzy ściąga swój trapez z haku i wzdłuż kopuły cyrku przelatuje na drugie rusztowanie.

A na dole siedzi Bob Fernandez.

Jak daleko sięga pamięć Marietty — on był zawsze przy niej.

Rozpoczyna się pierwsza ewolucja. Marietta wlatuje na trapezie ku kopule. Jej serce wali jak młotem. Ta na dole głowa Boba chwieje się jak wahadło.

Już jako dzieci bawili się razem, ona i Bob. Pierwszy training z Bobem. Pierwszy partner — Bob. Pierwsze sukcesy — wszystko wspólnie z Bobem. Należą do siebie. Nazawaze!

Teraz Jerzy z głową nadół — przylatuje do niej. Skok — klaśnięcie — ich ręce uderzają w siebie, ale jej palce są wilgotne. Marietta wraca do swego rusztowania — powietrze szumi dokoła jej skroni.

Oklaski. Marietta uśmiecha się wdół. Fernandez również klaska. Zupełnie





tak samo oklaskiwał pewnego wieczoru kobietę, z którą nazajutrz — uciekł —

Dalszy ciąg „numeru“. Oboje rzucają się jednocześnie i w krzyżowym locie zamieniają trapezy. Marietta czuje, że jej ciało jest dziwnie ciężkie. Tak samo, jak wtedy kiedy — wskoczyła do wody po zniknięciu Boba.

Znowu stoi na rusztowaniu i patrzy

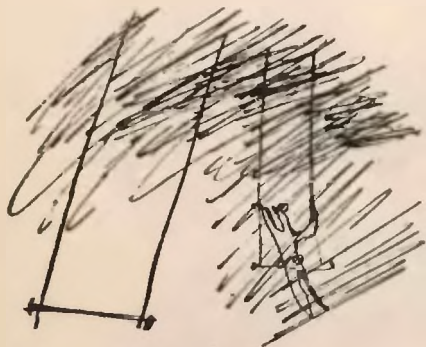
na Jerzego po przeciwnej stronie cyrku. Jerzy uratował jej wtedy życie i od tej chwili już jej nie opuszczał.

Orkiestra po silnym werblu bębna przestaje nagle grać. Teraz bowiem następuje „numer paradny“ Marietty: podwójne salto mortale.

— Tylko teraz nie stracić spokoju! Trochę bicia serca nic nie szkodzi. Tak,

Bobie, raz chciałam umrzeć, ale to już minęło. Ten skok śmiertelny chcę przeżyć!

— Raz — dwa — tylko bez obawy! Pociąg tu przyszedł, Bob, pociąg? Precz teraz, precz ze wszystkim — ja jestem silniejsza! — — —



Podwójne kłaśnięcie. Ona i Jerzy rzucają się jednocześnie w próżnię. Tylko się trzymać, nie dostać zawrotu głowy!

Nagle straszliwy okrzyk publiczności! Mariettę przeszywa dreszcz. Trzyma się kurczowo trapezu.

Na dole w sieci leży skurczone ciało Jerzego, bez ruchu.

Krzyki, bieganie — nosze. W niepojęty sposób Marietta znajduje się w manieży. Ktoś otulił ją zarzutką męską...

W pokoju lekarza.

Marietta wlepia wzrok w Jerzego.

Nagle Jerzy zrywa się.

— Wybaczcie mi wszyscy tę komedję. Fernandez jest na widowni! Podczas naszego „numeru” czułem, że Marietta traci pewność siebie. I miałem tylko jedną myśl: „Nie dopuścić dziś do jej salto mortale!”

CARLO VALETTI







# W stronach rodzinnych

Pan prokurator Norbert Popelec po długiej nieobecności powracał w rodzinne strony, do swej wsi. Napadły go sentymenty i na każdej prawie stacji ze smutnem obliczem wypijał kufel piwa. Postanowił wysiąść w Pretivinie, skąd chciał pieszo przez Skoczycze, Rażyce, Wodniany, Tyn nad Wełtawą, *przez miejscowości żywe we wspomnieniach dzieciennych, przyjść u swoje strony.*

W wyobraźni przedstawiał sobie owych dobrych i pięknych ludzi, których znał za młodych lat w tych miasteczkach, i cieszył się zgóry na rozmowę, jaką odbędzie z nimi, jeżeli jeszcze żyją.

Kiedy pociąg przyszedł do Piska, powiał na prokuratora smutek okolicznych pól. Stąd i aż do samego Pretivina, znał wszystkie okolice. Ot tam, skrywa się w zieleni miejsce, gdzie szli kupą za uczniowskich czasów na orzechy, a przez

Rażyce szedł zawsze do wujka, który lubił grę w karty.

Przyszły mu niespodzianie do głowy i inne wspomnienia. W Rażycach był staw, gdzie pewnego razu złodzieje leśni utopili leśnika Mrkwę.

Z zamyślenia wytrącił go nagle pan siedzący na przeciwległej ławce, okrzykiem: a stawu już nie ma! Prokurator spojrział w okno i zobaczył, że staw w istocie znikł. Żeby ukryć swe wzruszenie zaczął hałaśliwie wycierać nos.

Aż do samego Pretivina trzymał chustkę przy twarzy, nie mogąc powstrzymać łez. Przypomniawszy sobie ciotkę Gozikową, która lubiła brać go na kolana i pachniała nawozem; przypomniał sobie rzeźnika Pistolkę, który z nabożną pieśnią na ustach, wiązał i zarzynał cielęta.

W Pretivinie wysiadł z wagonu, zajął

stolik w bufecie stacyjnym i zaczął rozmyślać nad tem, od kogo zacznie swe wizyty. Postanowił najpierw dowiedzieć się czy żyje jeszcze wujaszek Kodejsz, który miał dawniej domek nad rzeczką Blanicą. Powiedziano mu, że Kodejszowie dzierżawią teraz niewielki sklepik i że Kodejszowa oślepla. Wkrótce prokurator rozmawiał ze swym wujem.

— Pamiętacie mnie?

— Nie.

— Ja jestem Norbert Popelec, prokurator z Pragi.

— Przepraszam, ale nic nie rozumiem.

— Ja jestem Popelec, syn tego Popelca, co to miał piwiarnię. A pan jest moim wujem.

— Popelec... piwiarnię... aha! Pamiętam!... A co ty tu robisz?

— Idę odwiedzić starych znajomych, może już ostatni raz.

— Hm. Ale wyglądasz nieszczęśliwie — powiedział stary wujaszek. — Twój ojciec miał miłą powierzchowność, ale pacnęli go kufelkiem w głowę i kaput. No i co, zostajesz tutaj przez noc? Ale my nie mamy miejsca dla ciebie. Mamy wszystkiego dwa pokoiki, a w jednym śpimy sami. Gdzie się podziewasz?

Prokurator przygryzł wargi i nic nie powiedział. A wujcio:

— Nie warto iść do ciotki. Oślepla biedna i gotowa cię jeszcze zwymyślać.

— No, to wszystkiego najlepszego — powiedział prokurator zmartwiony.

— Żegnaj, a ręki ci nie podaję bo zawałam ją powidłami. Spadły mi pieniądze z lady — powiedział wujaszek.

Kiedy prokurator wyszedł na ulicę czuł się tak, jakby go w tym sklepiku spoliczkowano.

Zawrócił w inną stronę i zaczął rozmyślać o tem, gdzieby tak pójść. Przypomniawszy sobie, że mieszka tu jego przyrodnia siostra, Owsarka, którą wydano za żonę dzierżawcy restauracji, tej samej piwiarni, która kiedyś należała do jego ojca.

Przeszedł przez Blanicę i na lewo od szosy wszedł do prostego domu z napisem: Pretvinskie piwo.



Odrazu poznał za ładą swą siostrę, wysoką, silnej budowy kobietę. Zamówił u niej kufel piwa i zaczął układać plan przemówienia, w którym poinformuje kobietę o tem, że jest jej przyrodnim bratem.

— Pani mnie nie poznaje? — zapytał po długich medytacjach.

— Pierwszy raz widzę. Może spotykałam pana na rynku w Budziejowicach, ale nie pamiętam. Czy pan tam może kupował bekony?

— Nie, nie! Pani jest Owsarka, urodzona Popelec?

— Tak. A pan nie jest pisarzem z Rozdowic? Tamten też jakoś tak dziwnie wygląda.



— Nie, ja jestem prokurator Norbert Popelec, syn Józefa Popeleca, tego właśnie do którego należała ta piwiarnia. Jestem pani przyrodnim bratem.

— Ach, jaka szkoda, że mój stary wyjechał po zakup krowy. Nie gotujemy dzisiaj obiadu. Obiad można dostać tam nieco dalej, w restauracji.

Poszła i pozostawiła prokuratora samego. Zrozumiał, oczywiście, dlaczego to wszystko mówiła. Bała się, że trzeba będzie poczęstować go obiadem.

Wreszcie przyszła znów i powiedziała, że kiedy przyjedzie jej mąż, to napompują świeżego piwa, bo wszystko sprzedane. I znów uciekła. Po minucie przyszła znów z wiadrem wody, zakasała rękawy i nie mówiąc ani słowa, zaczęła myć podłogę.

Prokurator zapłacił i kiedy już zbierał się do wyjścia, powiedziała mu siostra przyrodnia na pożegnanie:

— W tej drugiej piwiarni napewno pan dostanie obiad.

I oto jest znów w rodzinnej wsi na ulicy. Wszystko wydawało mu się takie zimne, obce i brudne, takie drażniące, że prokurator uderzył kijem w ziemię. Potem automatycznie poszedł w kierunku drugiej piwiarni.

Nad drzwiami przeczytał szyld: „Piwiarnia Jana Wołoszyna“.

— Wołoszyn?... Wołoszyn?... — mruzczał do samego siebie prokurator. — Wołoszyn był już przecież starcem, nazywali go „wylizany“ bo robił sobie przedziałek na włosach. To niemożliwe, żeby to był on.



W kącie siedział staruszek. Był to ten sam „wylizany“ z siwym przedziałkiem na głowie. „On ma chyba 90 lat“, pomyślał sobie prokurator.

— Dziadziu, czy pamiętacie starego Popeleca, którego syn uczył się w Pradze?

— Jakże nie pamiętać takiego drania! — powiedział dziadzio. — A jego syn to podobno ciągle się procesuje. Z Marzanną Grossową, Żydówką z Niemiec, ma dziecko. Ten chłopak podobno u starego Lewa w Pisku jest sprzedawcą w sklepie...

— Ale przepraszam, któż to takie rzeczy dziadziowi opowiedział? — zdetonowany rzekł prokurator.

— Wszyscy to wiedzieli jeszcze przed paru latami. Ja wszystko wiem. Czesława Mazowcą też znałem. Ten chodził z jakąś damulką z zamku. Wiem o wszystkim. Tak, tak, a ten Mazowiec był krewnym Popelców. Jedna rodzinka gorsza od drugiej. Stary Popelec wściekał się na mnie, że ja sprzedaję o trzy hektolitry piwa więcej od niego, więc doniósł, że ukrywam złodziei. Ach, czegoż ten podlec na mnie nie nagał! A synalek, który się w Pradze kształcił też był kawał łobuza. Widział

go raz nasz rzeźnik Kratochwil w sądzie. Dwóch policjantów, a między nimi stał sam młody Popelec.

Na prokuratora uderzyły siódme poty, pomieszane z zimną febrą. Gorączkowo pił piwo i z całej siły walczył w sobie z chęcią rozbicia czegokolwiek.

A staruszek ciągnął dalej:

— Cała rodzina Popelców taka już jest. Jednego z nich, przyrodniego brata tego, który się uczył w Pradze, złapali niedawno żandarmi w lesie, kiedy kradł drzewo. Onegdaj go aresztowano. A Kodejsz, stary nierób, wujek Popelca skupuje kradzione drzewo.

Dokoła siedziało paru gości, ludzi starszych, którzy podejrzliwie zaczęli spoglądać w stronę prokuratora.

— Dziadziu — powiedział jeden

z nich, wskazując prokuratora — a może to jest ten „praski Popelec“?

— Panowie, cóż wy... ależ panowie... — powiedział pośpiesznie pan Norbert Popelec. — Ja jestem kupiec Heksa z Budziejowic...

Zapłacił i wyszedł.

— Też dobry numer! — powiedział po jego wyjściu jeden z gości. — To ten, który przed paroma latami fałszował pieniądze i dostał pięć lat więzienia.

Prokurator tymczasem zdesperowany kroczył po brudnej uliczce rodzinnej wioski i kiedy odjeżdżał spowrotem do Pragi, twarz jego straciła już sentymentalny wyraz, a pierwszy kufel piwa kupiony po drodze, rzucił ze złością za siebie, w kierunku rodzinnych stron...

JAR. HASZEK





# Dowidzenia

Cesarzowa bizantyńska, Teodora, była zamlodu niezwyklej urody tancerką. Zakochał się w niej cesarz Justynian i poślubił ją. Był on o piętnaście lat starszy od niej. Szczęsem namiętność, którą pałał do niej, przemieniła się w respekt dla jej niezastąpionej współpracy na tronie. Teodora zaś na wyżynie swej potęgi pełna była namiętności tak samo, jak za młodu. A cesarz, lubo że wiedział, co się nocą działo w komnatkach jego małżonki, zamykał na to oczy.

Teodora miała eunucha, olbrzyma, imieniem Andramytos, który był jej ślepo oddany. Jak pies, nie znał nic innego nad rozkazy swej pani. I mordował na jej rozkaz, nie pytając dlaczego. Sumienia nie posiadał, a jeszcze mniej nerwów. Poprostu mordował.

Stał na straży komnat, w których cesarzowa i jej cztery przyjaciółki, dawne koleżanki - tancerki, urządzały sobie orgje z pięknymi, codziennie na nowo wybranymi młodzieńcami. Gdy zaświtał poranek, damy podnosiły się i pozostawiały swych gości. W drzwiach odwracały się i mówiły do nich: „Do widzenia!“ Ostatnie pozdrowienie — ostatnie kłamstwo! Młodzieńcy pozostali jeszcze, pili, wypoczywali i chęłpili się sukcesami swemi, aż wchodził Andramytos i skinął na nich. Owe ostatnie „Do widzenia!“ bowiem było dla niego — sygnałem. „Już czas, bym was z pałacu wyprowadził. Pójdźcie za mną!“ Młodzieńcy poszli za nim. Na ich ustach gorzały jeszcze całusy tych pięknych kobiet, a w uszach brzmiało im jeszcze ostatnie pozdrowienie.

Olbrzymi eunuch prowadził ich uprzejmie i usłużnie ukrytymi korytarzami i schodami aż do pomalowanych na czerwono drzwi. „Proszę tędy. Wydostaniecie się z pałacu tak, iż nikt was nie ujrzy. Chodzi przecież, jak wiecie, o dyskrecję!“ Otworzywszy drzwi,

wypuścił gości. Kroczyli oni poomacku na gładkiej posadzce, uśmiechnięci, ubawieni tajemniczością swej drogi.

Nagle posadzka pod ich nogami rozsunała się i młodzieńcy zapadli się w głąb. Ciała ich uderzyły o wodę, która wyniosła je na Bosfor. Rzeka zaś porwała je do morza, skąd nie było już ratunku.

Czerwono pomalowane drzwi znane były wtajemniczonym jako „brama śmierci“.



Pewnego dnia cesarzowa, wróciwszy od cesarza do swych komnat, stanęła mocno zdziwiona we drzwiach. Przy oknie bowiem ujrzała wysokiego, smukłego młodzieńca niezwykle urody. Był skromnie ubrany. Nie mógł zatem być jednym z elegantów bizantyńskich lub rzymskich. Ale postawa jego podobą się cesarzowej. Usłyszawszy jej kroki, skierował na nią pełne niesamowitego żaru oczy. Niezwykle piękna i szlachetna twarz jego oblała się lekkim rumieńcem. Bez słowa wpatrywał się z widocznym wzruszeniem w cesarzową.

Ta twarz, ta twarz! Dlaczego wydawała jej się tak dziwnie znajoma? Z zakamarków pamięci wydobywały się jakieś wspomnienia. Z początku bezkształtnie, ale potem coraz wyraźniej, a zarazem i niepokojąco. Ta twarz — przypominała...

— Kto jesteś? Skąd przybywasz?

Czego chcesz? Kto cię tu przyprowadził? — temi pytaniami zasypała cesarzowa młodzieńca.

Ukląkł przed nią. Teodora nie cierpiała tej pozy zakochanych młodzieńców. Ale w tym chłopcu nie było nic z pozy. Znamionowała go uroczysta powaga. Składał jej hołd w sposób, który chwycił ją za serce.

— Nazywam się Jan i pochodzę z Japho, cesarzowo! Tyś przecież — cesarzowa. Musisz nią być, bo tak sobie wyobrażałem ciebie! Tak opisywał mi ciebie mój — ojciec. Toteż nawet jako ślepy poznałbym cię. Sama bliskość twoja przekonuje, że jesteś cesarzową!

Och, ta twarz, ta twarz! Jakby urzeczona wpatrywała się Teodora w nią teraz.

— Kto jesteś? Kto jest twoim ojcem? — zapytała nagle i w tej samej chwili już — wszystko wiedziała...

Jan wyjął ze swej tuniki — medaljon







i wręczył go cesarzowej. Ujrzała własną swoją podobiznę. Ale nie jako cesarzową, obwieszoną brylantami i złotem, lecz jako młodą dziewczynę z kwiatami na bujnych włosach i uśmiechem na ustach. Młoda była wtedy, bardzo młoda. A z oczu jej jaśniała słodycz wielkiej miłości. Poznała siebie...

— Mój ojciec namalował ten portret z pamięci. Nazywał się — Adrianus. Umarł z twojem imieniem na ustach.

Cesarzowa upadła na otomanę. Ciska zapanowała w komnacie. Dusza kobiety wracała w przeszłość. Adrianus był jej pierwszym mężem, za którego wyszła za młodu. Uciekła potem od niego, tak samo jak przedtem od rodziców, a później znowu od mistrzów tańca. Dlaczego uciekła od niego, którego kochała, który ją ubóstwiał? „Nienawidzę cię!” krzyknęła do niego na pożegnanie. Dziecko zabrali krewni męża do siebie, wychowali je. A oto teraz stało przed nią — nieporównanie piękne!...

Rozwarła ramiona i przytuliła młodzieńca do siebie. Była to inna pieszczota, niż ta, którą zazwyczaj darzyła i przyjmowała. Z nieznaną jej dotychczas delikatnością złożyła na czole jego pocałunek. Podała mu swoje ręce,

które on całował z wielką czolobitnością. Nie mówili nic do siebie — matka i syn.

Po dłuższym czasie dopiero Teodora odezwała się:

— Co ci twój ojciec o mnie opowiadał? — Sama była zdziwiona łękiem w swym głosie.

Jan, klęcząc przed nią, rzekł:

— Jak możesz pytać, matko? — A spojrzawszy w jej twarz: — Czy wolno mi cię tak nazywać?

— Musisz!

Począł opowiadać. Nigdy ojciec o niej nie mówił. Nigdy. Dla dorastającego młodzieńca przyjście jego na świat osłonięte było tajemnicą. Dopiero na łożu śmierci ojciec wyjawiał mu ją. Ale bez żalu, bez wymyślań i złorzeczeń, tylko — ze zrozumieniem i przebaczeniem.

— Nie mogła należeć do mego ciasnego życia, ani też do swego dziecka, bo należała do — świata nieśmiertelnych — tak mówił Adrianus do swego syna, a ten opowiedział to teraz swej matce.

— Zostaniesz przy mnie, jesteś mi potrzebny — rzekła cesarzowa. — Nie mam na całym świecie przyjaciela, pra-

gnę oprzeć się na tobie. Ty będziesz dla mnie walczył, gdy nadejdzie chwila!

Nagle stukanie do drzwi przeraziło ją. Było to ściśle określone stukanie: dwa razy lekko, a raz silniej. Tak wzywał ją zawsze podkomorzy do cesarza. W tej samej chwili była znowu tylko cesarzową. Ohowiązki były silniejsze.

— Idę już! — zawołała.

Następnie nachyliła się do Jana:

— Zaczekasz tutaj, aż wrócę. Cesarz wzywa mnie! — Zbliżywszy się szybko do drzwi, odwróciła się przy nich raz jeszcze do syna i rzekła:

— Do widzenia!

Kiedy po pewnym czasie powróciła i bez tchu z rozpromienionymi radością oczami wpadła do komnaty — nikogo w niej nie było. Przebiegła wszystkie komnaty, ale nigdzie nie znalazła Jana.

Z wielkim krzykiem wezwała Andramytosa. Olbrzym wszedł i czekał rozkazu.

— Gdzie jest ten młodzieniec, któremu kazałam tu czekać?

Eunuch wskazał palcem w wiadomym kierunku. Cesarzowej zamarło serce.

— Cóżby miało z nim być? — odparł. — Powiedziałas mu przecież — do widzenia! Odprowadziłem go przeto tą

samą drogą, co wszystkich innych do — czerwonych drzwi.

— Do widzenia! — To słowo, które z przyzwyczajenia grzesznego nasunęło się jej na usta, tym razem okrutnie się zemściło. Po raz pierwszy w życiu cesarzowa zemdląła.

Nigdy już potem nie wspomniała o wizycie pięknego młodzieńca. Rzuciła się znowu w wir swych orgij. Dopiero kiedy ciężko zachorowała i czuła, że koniec się zbliża, kazała wezwać — Andramytosa.

Na kolanach przyczołgał się olbrzym do łóża swej pani.

Na małym stoliku hebanowym leżał pięknej roboty sztylet. Podarował go jej kiedyś sam cesarz. Teodora trzymała go teraz w ręce, wpatrzona w olbrzyma, klęczącego przed nią z opuszczoną głową.

Wynędniała twarz jej przybrała przerażający wyraz. Nagle podniosła ramię i — wbiła sztylet w plecy pochylonego Andramytosa. Olbrzym jakby rażony piorunem powalił się nieżywy.

Cesarzowa upadła na poduszki. Na ustach jej pojawił się uśmiech zadowolenia.

Nazajutrz umarła.

A. P. OFER





# Ostateczne życzenie

Znajdowałem się w jakimś obcym mieście, w małym pałacu z czarnego marmuru. W pałacu tym był tylko — jeden pokój, a jedyne jego „umeblowanie“ stanowiła marmurowa ławka. Podłużny wąski otwór zamiast drzwi i czworokątny zamiast okna. Światło padało skąpo, ale zawsze równomierne: rano, wieczór, w południe i w nocy. Powoli przyzwyczaiłem się do tego.

Stanąwszy przy oknie, patrzyłem na ulicę. Nie było na niej żywej duszy. Miasto było jakby wymarłe. Bez pojazdów, sklepów, kawiarni. Nigdzie śladu drzew, kwiatów.

Nie wiem, w jaki sposób dostałem się do tego miasta, odkąd przebywałem w marmurowym pałacu. Byłem sam jeden.

Powoli uprzytomniłem sobie, że jestem w całym mieście — jedyną żywą istotą. Nie dziwiło mnie to jednak wcale, ani też nie odczuwałem bojaźni. Pragnąłem wszakże stwierdzić, gdzie się właściwie znajduję.

Wyszedłem więc na ulicę. Już po dwóch krokach atoli zatrzymałem się z lękiem. Nie byłem już bowiem sam.

Przedemną stał mały, krępy człowiek o czerwonej twarzy. Wyglądał, jak woźnica. Kiedy się zjawił, nie wiem. Przez kilka chwil patrzyliśmy sobie ostro w oczy. Potem skinął na mnie ponuro, bez słowa.

Nie wiem z jakiego powodu ogarnął mnie w tej chwili straszliwy lęk, tak iż zakryłem oczy, by tego „woźnicę“ nie widzieć. Kiedy zaś znowu spojrzałem, on wciąż jeszcze stał i kiwał na mnie wprost rozkazująco. Zawstydzi-

łem się swego tchórzostwa i zawołałem ostro:

— Czego chcesz?

Popatrzył na mnie zdziwiony, a potem rzekł:

— Jakto — nie wiesz?

Nie nie wiedziałem... A jednak może wiedziałem? Obudziło się we mnie jakieś podejrzenie niejasne i znowu ogarnął mnie lęk tajemniczy. Nie znałem go przecież — a może znałem? Nigdy go nie widziałem, a jednak był mi znajomy.

Nagle położył wielką swoją łapę na moje ramię — a życie we mnie zamarło.

— Nie znasz mnie? — zapytał głosem, który brzmiał jak organy kościelne.

Teraz znałem go już. Wiedziałem, że to — Śmierć. Spuściłem głowę i z oczu połały mi się łzy. W ciągu jednej chwili przeżywałem całe swoje życie. W długim korowodzie przesunęli się przede mną wszyscy, których znałem i kochałem. I poczułem, że stała mi się wielka krzywda.

— Dlaczegoż właśnie ja muszę umierać i to właśnie teraz, gdy mi nic nie dolega? I zabłysnął we mnie promyk nadziei. — Może to jednak — omyłka? Śmierć omyliła się w drzwiach. W tak dużym mieście wszystko może się zdarzyć. I wyjąknąłem trwożliwie: — Może — może...

— Śmierć nigdy się nie myli — rzekł woźnica chłodno.

— Tak wcześniej?... — westchnąłem smutno.

— Czy uczepiasz się tak życia?

— Ogromnie!

Zaśmiał się: — Wszak już nie żyjesz!

To oświadczenie nieco mnie uspokoiło. Czułem bowiem, iż jednak żyję, że serce moje wciąż jeszcze bije, że oddycham, patrzę, myślę. Nic się zatem nie zmieniło. Uśmiechnąłem się pokryjomu. Śmierć się myli, nie zauważyła, że jeszcze żyję.

— Jednak już umarłeś! — rzekł w tej chwili woźnica. — A nie jest to wcale tak zabawne, jak to sobie wyobrażasz...

Te słowa przeraziły mnie. Z wielką pokorą wpatrywałem się w niego. Począłem przeczuwać, że może on jednak ma słuszość.

Teraz dopiero zauważyłem zwyczajny wóz chłopski, zaprzęgnięty w dwa czarne, kirem okryte konie. Woźnica usiadł na koźle i skinął na mnie, bym zajął miejsce przy nim.

Popatrzyłem na niego wahajaco.

— Tu niema już żadnej pomocy! — zawołał.

— Siadaj! Muszę się śpieszyć!

W takim stroju mam siadać? — wyjąknąłem.

Miałem na sobie szare ubranie, spacerowe, buciki zakurzone, a kapelusz zostawiłem w pałacu. Kieszenie moje były zapełnione różnymi drobiazgami...

Woźnica spojrzął na mnie.

— To wszystko musisz wyrzucić!

— Nic mi zabrać nie wolno?

— Tylko jedną rzecz!

— Jaką?

— Tą, która ci w życiu była najcenniejsza.

Cóż miałem zabrać? Nagle wiedziałem! Pobiegłem do pałacu, wyrzuciłem

z kieszeń wszystko i zabrałem wąskie pudełko — cygar.

— Co tam masz? — zapytał woźnica.

— Sto cygar — odrzekłem uszczęśliwiony.

Woźnica zaśmiał się: — Sto cygar!

Było to, jak gdyby chciał powiedzieć:

I to przez niezliczone miliony lat ma być twoje — „szczęście“?

Nie troszczyłem się jednak o niego wcale. Z moją setką cygar patrzyłem spokojnie w przyszłość.

Usiadłem przy woźnicy i wóz bezszelestnie ruszył. Nagle podnieśliśmy się w powietrze, a czarne konie przemieniły się na dwa olbrzymie śmigła, zaś wóz na smukły samolot.

Lecieliśmy coraz wyżej. Mnie lot ten zaczął nudzić. Otworzyłem więc pudełko, by zapalić sobie cygaro. Daremnie jednak w coraz większym zdenerwowaniu przeszukiwałem wszystkie kieszenie. Zapomniałem zabrać ze sobą zapalniczki. Krążyłem w przestworzu ze setką cygar bez jednej zapalniczki! Okropne uczucie.

Bojaźliwie dotknąłem ramienia pilota. Odwrócił się z okrutną, triumfującą miną.

— Zapalniczkę! Zapalniczkę! — błagałem go.

Pilot wybuchnął straszliwie dzikim śmiechem.

— Dam ci jedną zapalniczkę, ale musisz najpierw wyrzucić cygara! Nie wolno ci bowiem mieć przy sobie dwójakiego rodzaju rzeczy!...

— Wołałeś o zapalniczkę? — usłyszałem nagle głos — mojej żony...

— Co ci się śniło kochanie?

Y. HELTAI